Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 29 maja 1938 r. Nr. 22

Wkrótce drukujemy dwie nowe powieści



Kochać cię muszę...

Najdroższa, ty jesteś wiosną mą,
Twe oczy, jak gwiazdy wielkie lśnią,
A blask ich pada na moją duszę
I choćbym nie chciał — kochać cię muszę...

E. H.

MAX DU VEUZIT

13)

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO
IRENY MACIEJEWSKIEJ

„Obraz twój był zawsze przy nim, mimo chaosu panującego w jego mózgu. Nie staram się odgadnąć, w jaki sposób umysł mego brata mógł zachować tak dokładne wspomnienie o tobie; mogę tylko stwierdzić, iż po pierwszych wynurzeniach między mną a Januszem, mój drogi chory zaczął mówić o tobie z taką dokładnością, jakgdyby był w pełni władz umysłowych, w chwilach gdy przebywał z tobą.

„Prosił mnie, byśmy za obopólną zgodą, powzięli pewne decyzje co do siebie, na wypadek, gdyby choroba przykuła go na nowo do łoża.

„Uzgodniliśmy zatem, iż Belle Vue z przyległościami, będące własnością mego brata, przypadnie ci po nim, byś mogła całkowicie się uniezależnić i mieć bezpieczne jutro.

„Janusz jest obecnie znowu chory... pozbawiony zmysłów... a jego wola jest dla mnie święta.

„Nie odmawiaj, Sabinko; proszę cię, byś po prostu zgodziła się, tak jak to uczyniłam, z życzeniem mego ukochanego brata.

„Zechciej, droga, mała przyjaciółko... którą tak pragnęłabym nazywać drogą siostrzyczką, zechciej więc od dnia dzisiejszego uważać Belle Vue za swój dom; posiadłość należy od tej chwili do ciebie, a przepisanie majątku na twoje imię nastąpi wówczas, gdy Janusz nie będzie na tym padole płaczu; proszę cię jednak, Sabino, abyś mieszkała i rządziła w Belle Vue, jako rzeczywista właścicielka domu i ziemi.

„Znam zbyt dobrze twoją życzliwość dla naszego drogiego chorego, by obawiać się, iż gościna w jego domu, przez pewien czas jeszcze, zrobi ci przykrość. — Zechciej porozumieć się z notariuszem w Collonges, byś się mogła upewnić, iż wszystkie dokumenty, dotyczące twych praw do Belle Vue są w absolutnym porządku.

„Ja zaś, droga Sabinko, proszę cię ze swej strony — być może, iż to przesadna czułostkowość — byś pozostawiła posiadłość na imię mego brata, dopóki będzie on żył.

„Nieprawdaż, kochanie, iż zgadzasz się z moim pragnieniem?

„Wkrótce, być może, napiszę znowu, by donieść ci jeszcze jedną wielką nowinę... tym razem dotyczącą mnie!

Serdecznie ci oddana Blanka".

Nie będę usiłowała odmalowywać wrażeń, które przeżywałam, czytając tę długą epistołę.

Obawa przed bolesnym zabiegiem... niecierpliwe pragnienie poznania wyniku... radość z uzdrowienia... smutek, ból — och jak wielki! gdy po uzdrowieniu nastąpiło obłąkanie... współczucie dla strapionej siostry... zdziwienie z powodu spokojnej rezygnacji Blanki dla dobra doktora Taillet... wreszcie zdumienie połączone ze wzruszeniem, łzy wdzięczności wobec królewskiego



Do Genewy przybył na posiedzenie Ligi Narodów negus Haile Selassie.

gestu Janusza, powracającego do zdrowia na kilka godzin tylko, by zabezpieczyć moją przyszłość i niezależność! A potem gorzki bunt serca przeciw przeznaczeniu, który nigdy nie pozwoli mi odwdzięczyć się Januszowi de Saumarte; dojmująca myśl o przyjaźni, tak szczerej i głębokiej, pogrzebanej na zawsze w szpitalu dla obłąkanych.

— Janusz! Janusz!

Wymawiałam to imię z prawdziwą rozpaczą .On, taki szlachetny, taki dobry, taki oddany, tak gorąco kochający, tak szczerze mi przyjazny — poza obrębem życia, tym razem naprawdę! Janusz obłąkany, Janusz na zawsze pozbawiony zmysłów.

Usiłowałam zrozumieć, rozważyć.... Wszystko się we mnie buntowało. Świadomość, iż nie można nic zdziałać przeciw tej okropnej rzeczywistości, była okrutna. Musiałam przyjąć z rezygnacją nieubłagany wyrok losu! Zdobyłam bogactwo, straciłam jednak przyjaciela, który był wcieleniem najpiękniejszej i najcenniejszej przyjaźni. Bogactwo nie mogło wynagrodzić straty przyjaciela, jedynego, w mej samotności i odosobnieniu, bliskiego mi człowieka.

Przeżywałam godziny tragicznego smutku. Pogrążona w bólu, w przygnębiających myślach, nie miałam siły, by, jak należało, podziękować Blance. Upłynęło kilka dni, zanim mogłam jej wyrazić swą wdzięczność, nie ukrywając jednak rozpaczy, wypełniającej mi serce.

Blanka musiała z pewnością dziwić się, czytając ten list bez związku. Nie wiem, czy podziękowania moje dorównywały głębokiej wdzięczności, którą miałam dla niej? Czy wyczuła między wierszami mego serdecznego, a zarazem zrozpaczonego listu, jaki dojmujący ból łączył się w mym sercu z wdzięcznością?

O nie — nie pójdę do notariusza w Collonges; sam dźwięk imienia Janusza napełniał mi oczy łzami. Rozpłakałabym się tam rozpaczliwie, mając przed oczami dowody wzniosłej przyjaźni nieszczęśliwego kaleki.

Nie mogłam się również zdobyć przez dwa tygodnie na udanie się do Belle Vue. Myśl o tym majątku — moim obecnie na życzenie automatu — wiązała się zawsze bezwolnie ze wspomnieniem o tym, kto mi go ofiarował, a wtedy rozpacz mnie ogarniała na nowo.

Czas łagodzi jednak wszystko; nie mogę powiedzieć, iż wszystko ma swój kres, smutek mój bowiem, trwał jeszcze długo; ale dni płynęły, a ból tępiał. Mogłam już spokojnie myśleć i działać.

Czułam, iż nie powinnam unikać Belle Vue, gdyby bowiem Blanka dowiedziała się, iż zaprzestałam tam chodzić, zdziwiłaby się i mogłaby przypuszczać, iż wzgardziłam nim.

Zresztą Annika i Nador niepokoili się zapewne moją długą nieobecnością.

Któregoś dnia wreszcie udałam się do pałacu. Było mi jeszcze niewymownie ciężko na sercu, ale zdawałam sobie sprawę, iż nie należy pozostawać dłużej w odosobnieniu.

Nie mówiłam, zdaje się, o tym, iż w czasie tych dwóch tygodni, które przeżyłam zamknięta w swym pokoju, nie chcąc się do niczego wtrącać w Presec, babka atakowała mnie nieraz, zarzucając mi lenistwo i nikczemny charakter.

Muszę wyznać, iż wszystko, co mówiła mi babka, nie wzruszyło mnie po raz pierwszy zupełnie. Cóż znaczą jej ustawiczne docinki, wobec niewymownego smutku, spowodowanego stratą jedynego na świecie przyjaciela.

Babka mogła krzyczeć i dręczyć mnie bez końca: smutek mój doznawał w tym jakiegoś chorobliwego zadowolenia, czyniąc mnie jeszcze bardziej nieszczęśliwą i osamotnioną.

Ujrzawszy mnie, Annika wzniosła ramiona ku niebu.

— Panna Sabina nareszcie! Nie wiedzieliśmy, co się z panią dzieje! Ale jak panienka wygląda! Czy była pani chora? Schudła pani do niepoznania!

— Gdzie jest Nador? przerwałam jej.

— Od dziesięciu dni leży w łóżku: zaziębił się, odwożąc w czasie deszczu na kolej rzeczy, o które pisała panna Blanka. Nie mógł z tego powodu właśnie dowiedzieć się o panience w Presec. Ja również nie mogłam się ruszyć przez mój reumatyzm i wskutek tego, chcąc mieć wiadomości o panience, napisałam do panny Blanki.

— I cóż ona odpowiedziała, spytałam z pewnym niepokojem.

— Ano, nic jeszcze, otrzymała bowiem mój list zapewne dziś dopiero, gdyż wysłałam go zaledwie wczoraj.

— Mówiłaś, iż Nador odwoził na kolej rzeczy, których żądała panna Blanka, zapewne prosiła o bieliznę?

— Tak, bielizna również, ale przede wszystkim rodzinne fotografie... mianowicie portret pana Janusza, który wisiał w pokoju panny Blanki.

Widząc ,iż nic na to nie odpowiadam, zasmucona na dźwięk imienia Janusza, zmartwiona jednocześnie myślą, iż Blanka natychmiast po zawiadomieniu mnie o darowiźnie Belle Vue, zabiera rodzinne

portrety, stara służąca odezwała się z macierzyńską prawie serdecznością:

— Niech panienka się tym nie martwi, mówiła, jakby odgądując me myśli; panna Blanka jest tak strapiona nieszczęściem pana Janusza, pragnie zapewne teraz otoczyć się jego podobiznami... Biedny nasz pan! Panienka już wie?

— Blanka doniosła mi o tym, odrzekłam twierdząco.

— Jakież to nieszczęście: wyzdrowieć, a potem wpaść w obłąkanie! ciągnęła dalej. Nasza panienka mogła sama oszaleć z rozpaczy!

— Mnie również zmartwiło to niewymownie, szepnęłam.

— Nie wątpię, rzekła Annika po prostu. Tym więcej, iż pan Janusz był tak przywiązany do panienki, jakgdyby był przy zdrowych zmysłach.

Milczałam.

Błądziłam oczami po tarasie pełnym słońca. W dali widziałam trawnik, a przy nim aleję, którą szłam z Januszem w czasie naszej pierwszej przechadzki.

Tam znajdowała się samotna ławeczka, na której Janusz z bolesną porywczością wyznał mi prawdę o swym losie żywcem zamurowanego; zdrowy umysł w zniedołężniałym ciele, a dziś zdrowe ciało pozbawione rozumu.

Dręcząca myśl ukłuła mnie znów w serce...

Siedząc na tarasie w trzcinowym fotelu, patrzyłam w zadumie na rozciągającą się u mych stóp przestrzeń.

Ten park ,te lasy, te ziemie pokryte winnicami, wszystko to należało do mnie, jak mówiła Blanka.

Jakże chętnie zrzekłabym się tych dóbr, by Janusz mógł się nimi w dalszym ciągu cieszyć.

Snułam marzenia, iż powrócił do zdrowia...

Co uczyniłabym wówczas?

Przymknąwszy oczy, spojrzałam w głąb swego serca i zadrżałam na myśl, iż mógłby prosić o moją rękę.

O, byle nie to!

Zdawałam sobie sprawę z tego, iż przyjaźń moja dla Janusza była tylko duchowym przywiązaniem. Nigdy nie mogło by być między nami mowy o miłości. Moje uczucie dla niego miało pewien odcień lęku, nawet przerażenia wobec automatu, jakim był. Nie można zmusić ciała do miłości; miałam głębokie przeświadczenie, iż moja istota fizyczna wzdrygała się przed cielesnym z nim zetknięciem.

A mimo to, przyjaźń jego była dla mnie najcenniejszym w świecie skarbem, czułam, iż uczyniłabym wszystko, co tylko w mej mocy, by ją odzyskać i zachować.

Wchodził więc tu tylko w grę umysł... Moje kobiece serce wzruszyło się widokiem jego nieszczęścia, a litość kobiety jest zawsze zabarwiona uczuciem: miłość dziecięca dziewczynek, miłość siostrzana podlotków, miłość macierzyńska matek... zawiera w sobie zawsze potrzebę osłaniania, kochania, poświęcenia. Jedynie miłość kobiety stanowi wyjątek, gdy kierując się do mężczyzny, do swego pana, chce się w nim zatracić, chce się czuć przy nim małą i słabą, ale przez to właśnie szczęśliwą.

Kochałam Janusza duchowo, litując się nad jego nieszczęściem. Kochałam go sercem przyjaciółki, siostry, matki, która doznaje rozkoszy w poświęceniu; ale nigdy sercem kobiety, zmysłami dwudziestoletniej dziewczyny, marzeniami młodzieńczej kobiecości...

Gdyby nagle Janusz powrócił, byłabym szczęśliwą, widząc go w zdrowiu, w pełni sił, odrodzonego, wskrzeszonego do życia. Przyjęłabym od niego pomoc i radę. lecz pragnieniem moim byłoby oddalić się, żyć z pracy swych rąk... żyć w samotności, wolna i spokojna.

Ogarniając spojrzeniem otaczającą mnie posiadłość, powiedziałam sobie, iż będę stróżem tej ziemi w czasie chwilowej nieobecności chorego właściciela. Nie pragnęłam, by kiedykolwiek stała się moją prawdziwą własnością, życzyłabym bowiem Januszowi jak najdłuższego życia, wiedząc jednocześnie, iż nie zgodziłabym się nigdy na to, by dzielić je z nim.

Pogrążona w rozmyślaniach nie spostrzegłam jak zapadła noc.

Annika podeszła ku mnie, mówiąc:

— Panienka nie może tak późno wracać do Presec, przygotowałam pokój w pałacu.

— Mam tu przenocować? wybąkałam, instynktownie zaniepokojona.

— Przecież to nie pierwszy raz, a już jest tak późno...

Miała rację: to nie pierwszy raz! Wydawało mi się jednak, iż teraz to nie to samo, co dawniej.



Kapt. pilot Schiona z włoskich linii lotniczych „Ala Littoria", przeleciał po raz tysięczny ponad Alpami.

Oczy moje spoczęły na długiej, kamiennej fasadzie, wyglądającej imponująco w cichym zmierzchu.

Przeszył mnie dreszcz na myśl, iż będzie to jakby nocleg w domu umarłego, złożonego przed chwilą do grobu.

— Nador nie może jeszcze wstać, by odwieźć panienkę, nalegała stara kobieta, widząc moje wahanie.

Skierowałam spojrzenie na pobliski las: pod gęstą koroną drzew panowały już zupełne ciemności.

— O tej porze panienka nie powinna być poza domem, może się wydarzyć jakieś niemiłe spotkanie...

Obraz Piotra Desormiers stanął mi przed oczami, wywołując nagły lęk.

— Przenocuję tu, rzekłam żywo.

Wahałam się ze względu na babkę, której nie uprzedziłam.

Wiedziałam jednak dobrze, iż babka nie będzie się zbytnio przejmowała moją nieobecnością. Wiedząc, iż udałam się do Belle Vue, domyśli się łatwo, iż pozostałam tam na noc.

Mnie zaś powstrzymywała od pozostania myśl o wielkiej sali, gdzie tak często przesiadywałam obok fotelu Janusza; o jego pokoju, w którym czuwałam nad nim w czasie choroby; o sypialni Blanki, tak pustej po zdjęciu portretu.

— Zdecydowałam się pozostać tu, Anniko, powiedziałam stanowczo, ale pod warunkiem, iż dasz mi kolację w kuchni, przy kominie, i przygotujesz mi łóżko w pobliżu swego; czuję się niezbyt dobrze i boję się samotności.

Stara służąca przyjrzała mi się badawczo:

— Rzeczywiście panienka bardzo kiepsko wygląda. Któż to widział być taką bladą!

Zadowolona, iż zgodziłam się na jej życzenie, przygotowała mi posiłek i posłanie tak, jak ją o to prosiłam.

* * *

Po raz pierwszy od dłuższego czasu spędziłam spokojną noc, śpiąc mocno do samego rana.

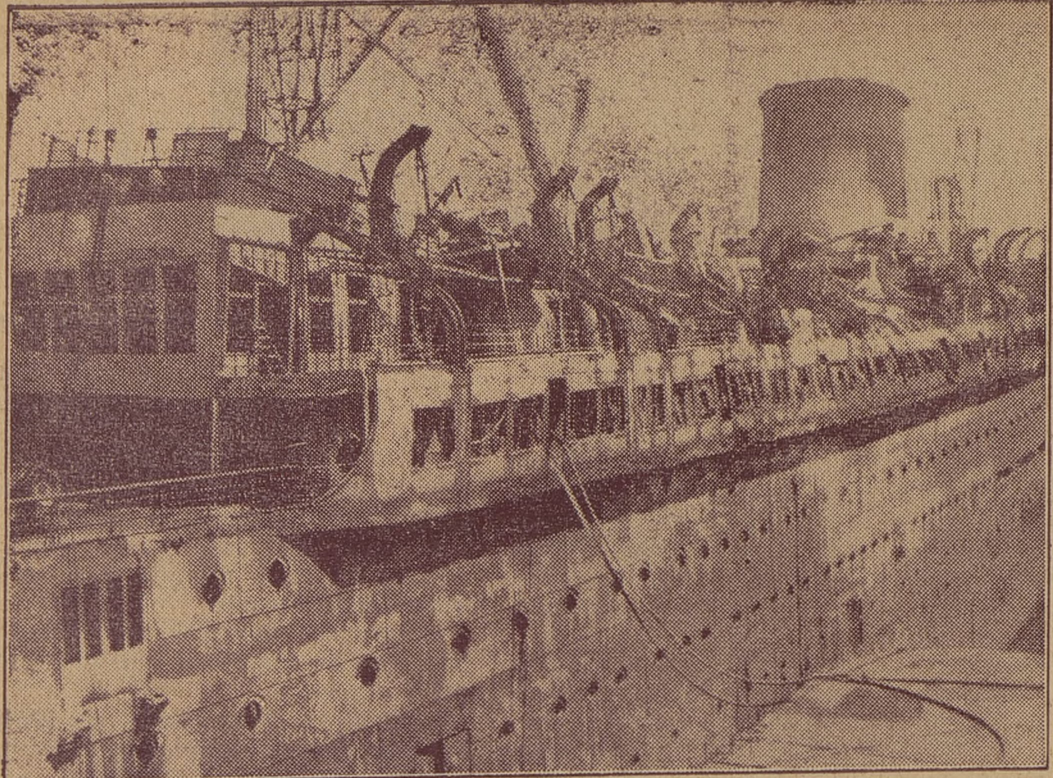
Czy to duch Janusza, wspomnienie którego błądziło wokoło mnie w ścianach Belle Vue, czuwał nad moim snem, napełniając mnie uczuciem bezpieczeństwa? Nie wiem. Czułam się spokojna i szczęśliwa w tym miłym domu, należącym obecnie do mnie.

— Jestem u siebie!... u siebie!

Trzeba przeżyć długie lata u obcych, trzeba dużo wycierpieć z racji swego ubóstwa, trzeba poznać gorycz wymówek skąpej krewnej, żywiącej z łaski, by zrozumieć słodkie wzruszenie, które mnie przenikało, mimo, iż wstyd mi było trochę zgłębiać w sobie to uczucie.

Dziesiątki razy magiczne słowa powracały mi na usta:

— Jestem u siebie...



Spalony wrak statku „Lafayette“ w porcie Le Havre.

I dziesiątki razy odsuwałam od siebie radość na myśl o tym niespodziewanym szczęściu.

— Tak, jestem u siebie, ponieważ szlachetne serce chciało mi dać ten najwyższy dowód swego uczucia, ale nie chcę być u siebie! Z całej duszy, ze wszystkich sił pragnę, aby to był tylko sen, aby Janusz de Saumarte odzyskał zdrowie i rozum, aby mógł znowu objąć w posiadanie te dobra, które chwilowo są w mojej dzierżawie.

Mimo, iż rozsądek i logika nakazywały milczenie mej próżności właścicielki, podświadomość nie mogła się oprzeć nieopanowanej radości. I zdawało mi się, iż oddycham swobodniej tego ranka. Przyszłość już mnie nie przerażała: miałam wrażenie iż spokojna i pełna ufności, przybiłam do portu.

Annika przyniosła mi do łóżka filiżankę gorącej czekolady.

Jedząc łakomie smaczne śniadanie, przyglądałam się z zadowoleniem starej służącej, kręcącej się po miłym jasnym pokoju, w którym spędziłam noc.

— Kto zajmował dawniej ten pokój?

— Nauczycielka panny Blanki, w czasach, gdy była ona figlarną i swawolną dziewczynką.

— Jak tu ładnie! Będę tu zawsze spała, ilekroć pozostanę w Belle Vue na noc.

— A dlaczego panienka nie zajęłaby pokoju panny Blanki? Tam będzie o wiele wygodniej.

Wstrząsnęłam przecząco głową.

— Trzeba wszystko pozostawić po dawnemu. Gdy Blanka powróci, musi zawsze czuć się tu u siebie.

— A więc pokój pana Janusza?

— To świętość! zawołałam. Mam nadzieję, iż nadejdzie jeszcze chwila, w której wasz młody pan powróci. I chcę cię o coś poprosić, Anniko...

— Niech panienka rozkaże, rzekła spokojnie staruszka.

— Abyś codzień stawiała świeże kwiaty w pokoju pana de Saumarte. Niech to stanie się zwyczajem, by okazać, że nietylko miejsce jego jest tu upamiętnione, ale ponadto i przede wszystkim, iż jest on tu codzień oczekiwany i będzie z radością powitany w chwili swego powrotu.

Stara służąca, ocierając łzy w oczach, spytała:

— Panienka naprawdę spodziewa się zobaczyć tu jeszcze pana Janusza?

— Ależ tak. Spodziewam się tego, zawołałam. Gdybym nie miała tej nadziei, zapewniam cię, Anniko, iż nie mogłabym nic przełknąć w tym domu, i uśmiech nigdy nie zakwitłby na mych ustach.

Przymknęłam oczy, na wspomnienie tych dni, pełnych beznadziejnej rozpaczy, które przeżyłam po otrzymaniu wiadomości o obłąkaniu Janusza.

— Gdzie jest życie, tam jest nadzieja, wygłosiła sentencjonalnie stara służąca.

— Dlatego też musimy mieć nadzieję i do tego samego końca oczekiwać jego powrotu.

— Ponieważ to zrobi panience przyjemność, będę codzień stawiała kwiaty w jego pokoju.

— Dziękuję ci z góry, Anniko, i proszę cię, abyś nie zaniedbała tego wówczas, gdy ja będę w Presec.

— W Presec? wykrzyknęła. Nie, panienka chyba nie zamierza tam powrócić.

— A gdzież mam się podziać?

— Ależ tu... u siebie! Panna Blanka zawiadomiła Nadora i mnie, iż obecnie panna Sabina jest panią tego domu.

— Blanka jest bardzo dobra, zauważyłam łagodnie. Ale proszę pamiętać o tym, iż oczekuję wciąż powrotu pana Janusza, pomimo wszystkich zapewnień lekarzy! Będę przychodziła do Belle Vue możliwie najczęściej, będę tu przebywała jak najdłużej, mam jednak pewne zobowiązania względem mej starej krewnej w Presec i dopóki tylko będę mogła przy niej wytrzymać, pozostanę oficjalnie pod jej dachem.

— Jabym miała również prośbę do panienki.

— Ależ mów, z góry zapewniam, iż niczego ci nie odmówię.

— Chodzi o moją siostrzenicę... dwudziestoletnią dziewczynkę, która jest chrzestną córką panny Blanki. Otóż, panienka pozwalała co roku, aby Róża — to jej imię — przyjeżdżała tu na parę letnich miesięcy. Ta smarkata nabierała tu sił i rumieńców. Paryż niebardzo jej służy... A tu Róża oddawała pewne usługi. Panna Blanka zajmowała ją szyciem... to jej fach. Jest bardzo zręczna i panienka dawała jej sukienki do roboty. Mogłaby więc też szyć dla panny Sabiny.

— Oczywiście, byłabym z tego bardzo zadowolona.

— Mogę więc jej napisać, aby przyjechała?

— Ma się rozumieć, moja dobra Anniko. Niech przyjeżdża jak najprędzej. Będzie ci dotrzymywała towarzystwa, a ja będę bardzo rada ją poznać, jeśli Blanka ją lubiła.

— Zrobi panience dużo ładnych rzeczy!

Słaby uśmiech rozjaśnił mą twarz.

Pomyślałam o nędznych łachmanach, tworzących mą garderobę. By uszyć coś nowego, trzeba by kupić materiał, babka zaś nigdy by się nie zgodziła na ten wydatek dla mnie.

Jakby zgadując me myśli, Annika powiedziała:

— Panienka wie zapewne, iż nasze szafy są zapełnione różnymi sukniami z dawnych czasów. Panna Blanka często żałowała, iż żałoba nie pozwala jej na zużytkowanie tych wszystkich materiałów. Są tam wzorzyste jedwabie, delikatne brokaty, całe stosy koronek.

— To są relikwie rodzinne, których nie chcę ruszać.

— A jednak, panna Blanka zarządziła, by wszystko co tu jest, bielizna i inne rzeczy, było do całkowitej dyspozycji panienki.

Ponieważ siedziałam milcząca i zadumana, mówiła dalej:

— Powiedziała, iż wszystko w Belle Vue należy odtąd do panienki i dlatego zabrała niektóre rzeczy, mianowicie portrety rodzinne, a zwłaszcza portret brata, na którym szczególnie jej zależało.

— Czy nie byłaś zdziwiona Anniko, dowiadując się o tym, iż zostałam właścicielką Belle Vue?

— Przyznaję panienko, iż w pierwszej chwili byłam trochę zaskoczona. Mówiłam sobie, iż nasz biedny pan Janusz jest już zgubiony bezpowrotnie, skoro posiadłość przechodzi w inne ręce. Nie zdziwiłam się jednak tym, iż wyznaczył panią jako spadkobierczynię, ze względu na sympatię, którą panience okazywał od chwili poznania.

— Dowiesz się, Anniko, iż byłam bardziej zaskoczona od ciebie, wbrew jednak zapewnieniom Blanki...

— Ależ notariusz twierdzi również...

— ... i zapewnieniom notariusza, uważam nadal pana de Saumarte za pana tych posiadłości. I dlatego nie pozwolę sobie nigdy na przywłaszczenie tu jakiejkolwiek rzeczy, będąc aż zbyt szczęśliwą, iż pozwolono mi z nich korzystać.

Służąca mówiła już o tym więcej, powracając do sprawy, leżącej jej na sercu.

— A więc panienka się zgadza? Mogę napisać do mej siostrzeniczki, by przyjechała tu na wakacje?

— Zgadzam się! Będzie mi miło poznać tę młodą panienkę i cieszyć się będę z jej pobytu w Belle Vue.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

WOJCIECH HOŁM

83)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Sylwia wyciągnęła torebkę z kieszeni i wsunęła Murzynowi w brudną rękę kilka dolarów, które tenże łapczywie chwycił.

— Dobry Sambo — błagała ona — powiedz mi, gdzie jest Mayer! Chyba nie umarł?

Murzyn namyślał się przez chwilę, a potem zapytał:

— Czy to by panią martwiło, czy cieszyło, gdyby Mayer już nie żył?

— Było by to nieszczęściem dla mnie — odparła Sylwia drżącym głosem.

— Zdaje mi się, że więcej dostanę, gdy powiem, że żyje — pomyślał Murzyn — a zresztą będzie to prawdą.

— Niech się panna pocieszy — rzekł głośno — Mayer żyje i jest zdrów, jak ryba.

prowadzisz i gdy się na własne oczy przekonamy, że na nie zasługujesz.

Twarz Murzyna wydłużyła się, lecz opanował się prędko i rzekł z uśmiechem:

— Sambo nie może tam pójść, bo Sambo służył u Mayera i uciekł od niego. Sambo drapnął stamtąd, bo się Zuzia w Sambie zakochała, a Mayer był zazdrosny.

— Wierutne kłamstwo — szepnął Waker do Sylwii — kto wie, co on tam nabroił, że się boi spotkania z Mayerem! Pewnie mu bydło zatruł, albo z zemsty dom podpalił i obawia się kary.

— Sambo — rzekła Sylwia do Murzyna — jeżeliś nic tam nie popełnił, to nie powinieneś się obawiać spotkania z Mayerem.

— Sambo nie chce się mieszać między małżeństwo — zaśmiał się Murzyn. — Sambo kocha kobiety i nie może im niczego odmówić. Niech pani da mi 50 dolarów ,a dowie się o mieszkaniu Mayera.

Zgodzili się wreszcie na to, aby im Murzyn wskazał mieszkanie Mayera, a sam

Było to po raz pierwszy, że Murzyn wymówił nazwę miejscowości, tak był podejrzliwy i ostrożny.

Niepokój Sylwii wzmagał się. Chodziła nerwowo po pokładzie ,nie słysząc co się wokoło niej dzieje.

Waker i Tulliwer palili się z niecierpliwości, chcąc się dowiedzieć, co za interes może mieć Sylwia do Mayera. Miłość chyba nie — kombinowali — bo Mayer żonaty, a przytem (jak się od Murzyna dowiedzieli) prosty człowiek. Chęć zysku także nie, bo Mayer nie był bogaty. Cóż więc to być mogło?

Podczas gdy sobie tak obaj przyjaciele łamali głowy nad tą zagadką, zbliżał się parowiec do celu ich podróży.

Wreszcie przybił do lądu Friedrichskron. Nasi pasażerowie opuścili pokład, a Sambo oświadczył, że trzeba tu nająć wóz z końmi, bo niemożliwą jest rzeczą przebyć drogę przez las pieszo.

Załatwiono to jak najprędzej i w kilka minut później jechali nasi podróżni przez las.

Tragiczna epopea dwojga zakochanych...

Meksyk! Egzotyczna kraina ludzi nietkniętych cywilizacją Europy.

Wiek XVIII w Europie! Wiek tarć, przewrotów, upadku monarchij i powstawania państw demokratycznych.

Polityczne machinacje mocarstw europejskich, niedozwalające na spokojne życie dwojga oddanych sobie na śmierć i życie ludzi, którzy z woli rządów Europy zmuszeni są płynąć za Ocean, do Meksyku, by tam wśród walk i tarć partyj politycznych prowadzić akcję pojednawczą.

Bohaterska misja ukochanej żony cesarza Maksymiliana do papieża, rozstrzelanie jej męża przez zagorzałych antagonistów politycznych — oto treść wspaniałej, rewelacyjnej powieści historycznej, której druk rozpoczniemy już w najbliższych numerach.

Powieść ta pt. **„KAROLINA — CESARZOWA MEKSYKU“** Roberta Goffin'a, którą z zapartym oddechem czytać będą wszyscy, okaże się niecodziennym wydarzeniem w historii naszego wydawnictwa.

A więc już wkrótce nowa powieść!...

Sylwia wydała okrzyk radości i obdarzywszy Murzyna sowicie, zapytała znów:

— A gdzie Mayer teraz mieszka?

— Nie tutaj — odparł Sambo flegmatycznie, namyślając się, jakim by to sposobem jeszcze więcej pieniędzy od Sylwii wycisnąć.

— Powiedz w tej chwili, ośle, gdzie Mayera zastać możemy! — wrzasnął Tulliwer. — Widzimy przecież sami, że go tutaj niema!

Murzyn milczał zacięcie.

— Poczekaj, zmuszę ja cię do mówienia — rozzłościł się Tulliwer i podniósł laskę, aby uderzyć Samba, ale Sylwia stanęła między nim a Murzynem i rzekła błagalnie:

— Proszę go nie bić, ja spróbuję z nim po dobroci. Dobry Sambo — zwróciła się znów do Murzyna — dam ci 50 dolarów, jak mnie do Mayera zaprowadzisz!

— Sambo chce mieć pierwej pieniądze, a potem Sambo powie, gdzie Mayer mieszka — odparł Sambo przebiegle.

— O, chciałbyś! — zadrwił Waker. — Schowasz dolary, a później Bóg wie, gdzie nas wyślesz. Nie mój kochany! Dostaniesz pieniądze dopiero, gdy nas do niego za-

został w pewnym oddaleniu. Następnie miała Sylwia pójść naprzód, aby się przekonać, czy Mayer rzeczywiście tam mieszka i dopiero potem miano mu wypłacić obiecaną nagrodę.

— Czy się nie możemy zaraz wybrać w drogę? — pytała Sylwia niecierpliwie.

— Nie, odparł Murzyn stanowczo — bo musimy czekać na parowiec!

— Czy nie możemy pójść do Wilsonstown, a stamtąd zaraz dalej pojechać? — spytała Sylwia.

Było to bardzo możliwe, ale Murzyn zaprzeczył temu, bo zanadto był leniwy, aby się zdecydować na taki długi spacer pieszo.

Musiała więc biedna Sylwia czekać trzy dni na okręt, a każda godzina wydawała jej się wiekiem.

Gdy wreszcie zobaczyła parowiec z daleka, dała kapitanowi znak, aby przystanął.

Okręt zatrzymał się i zabrawszy naszych czterech pasażerów popłynął dalej.

— Dokąd państwo jedziecie? — zapytał kapitan Tulliwera.

— Do Friedrichskron — odparł Sambo w miejsce zapytanego.

Serce Sylwii ścisnęło się boleśnie na myśl, że Mayera i tam nie zastaną; że może sprzedał już swoją posiadłość i wybrał się w daleki świat, nie zostawiwszy tam ani śladu po sobie!

— Oto ferma Mayera — rzekł Sambo, wskazując na duży dom w oddali — teraz niech pani da pieniądze. Sambo zrobił co obiecał!

— Oto 50 dolarów — rzekła Sylwia, wręczając Wakerowi rulon złota — idę tam niezwłocznie, i jeżeli Mayer tam nie mieszka, to niebawem wrócę. Jeżeli go zaś tam zastanę ,to zabawię dłużej. Jeżeli pan zobaczy, że ja nie wracam, to proszę zapłacić Murzynowi i puścić go.

Zeskoczyła z wozu i weszła do wnętrza domu, gdzie zastała Mayera z żoną przy skromnym obiedzie. Mayer podskoczył zdziwiony, i wyszedł naprzeciw Sylwii, ale Zuzia zbladła i zadrżała na całym ciele.

— Jezus Maria! — zawołał Mayer. — Co panienkę tu sprowadza?

— Chęć odkrycia strasznej zbrodni, odparła Sylwia z trudnością. — Panie Mayer, niech pan się zlituje nad nieszczęśliwym hrabią Wildensteinem. Pan Bóg wybaczy,



Król belgijski, Leopold, gratuluje zwycięzcy turnieju hippicznego w Brukseli, porucznikowi Brinkmannowi.

panu winę, jeśli pan się otwarcie do niej przyzna!

— Wielmożna panienko, odparł Mayer zdziwiony — przecież ja się naszemu proboszczowi otwarcie do swej winy przyznałem w liście, który był prawdziwą spowiedzią. Czy to możliwe, aby ten list nie doszedł?

— Ksiądz proboszcz otrzymał kopertę adresowaną do niego z Ameryki, ale w kopercie był tylko niezapisany arkusz papieru — odpowiedziała Sylwia.

Zuzia zadrżała znów i po raz drugi zmieniła kolor twarzy.

— Boże Święty! — krzyknął Mayer gniewnie — któż mi mógł tego figla spłatać? Zmiażdżyłbym tego nędznika na miejscu!

Zuzia wstała i powlokła się z trudnością ku drzwiom.

Mayer spojrzał na nią i wiedziony okropnym przeczuciem skoczył za nią, a złapawszy ją za plecy zawołał:

— Jakeś mi to zrobić mogła, nędzna istoto! Jakżeś się Boga nie bała!

Zuzia padła przed swoim mężem na kolana i szepnęła zbielałymi ustami:

— „Odpuść nam nasze winy!"

— Nie — zawołał Mayer — jedyną pociechą moją było, że odpokutowałem moją winę, ile było w mojej mocy, a tyś mi tę nadzieję zniweczyła! Jeżeli hrabia tymczasem w więzieniu umarł, to tyś go zamordowała! O Boże, Boże! Pomyśleć, że biedny hrabia jeszcze dotychczas siedzi w podziemiu! Ta myśl do szaleństwa mnie doprowadza!

— Więc to pan wtrącił hrabiego do podziemia? — spytała Sylwia słabym głosem.

— Tak, rzekł Mayer i opowiedział krótkimi słowy, że uwięzienie hrabiego Wernera odbyło się na wyraźny rozkaz czcigodnego dziadka.

— O, ja domyślam się wszystkiego! — jęknęła Sylwia. — Mój biedny Werner! Przeze mnie ty tak cierpisz! Chcieli cię tym sposobem zmusić, abyś mnie opuścił? Ale twoja wierna miłość wszystko przetrwała! Lecz, jeśli ty już nie żyjesz! Jeśli trupa w tym strasznym więzieniu zastanę!

Zaczęła płakać i szlochać, opowiadając Mayerowi, że go tam szukała i nie znalazła.

— Jeśli on już wtedy nie żył! — lamentowała. — Jeśli go Alojzy zakopał w lesie!

— Nie, nie, wielmożna panienko — pocieszał ją Mayer — pan hrabia żyje i uwolnimy go jak najprędzej. Lecz ta kobieta musi się przyznać, dlaczego ten list zniszczyła.

— Powiedz, co za diabeł w ciebie wlazł, żeś ukradła ten list? — krzyknął na Zuzię.

— Odpuść nam nasze winy! — szepnęła Zuzia słabo. — O Józefie, Józefie, gdybyś ty wiedział, ile ja przez to wycierpiałam i jak gorzko tego żałowałam!

— Podła kobieto! — zawołał Mayer w uniesieniu, dla kogo ja zgrzeszyłem, jeśli nie dla ciebie? Przyjąłem pieniądze barona i sprzedałem swoją duszę piekłu no to tylko, aby zaspokoić twoją chęć strojenia się i bawienia! A jak ty mi się za to odwdzięczyłaś? Zdeptałaś moje serce i splamiłaś mój honor! Tobie nawet sam Pan Bóg tego nie wybaczy, ani też ja ci wybaczyć nie mogę!

Każde jego słowo trafiało ją, jakby sztyletem w serce.

— Ty mnie więcej nie kochasz — jęknęła boleśnie — nie pomoże mi już żadna skrucha i żadna pokuta. Bądź zdrów Józefie, ja ci nie chcę dłużej być ciężarem!

Mówiąc to, podniosła się z ziemi i wyszła z pokoju.

— Ustąpię mu z drogi — szepnęła ona — może on mi tak prędzej wybaczy! Jestem mu ciężarem, bo on kocha Gretę. Jak mnie nie stanie, to się z nią ożeni, a wtedy może zmówi pacierz za moją duszę.

— Na Boga! — zawołała Sylwia — niech pan wyjdzie za swoją żoną, bo ona sobie w rozpaczy gotowa życie odebrać.

— Zanadto kocha siebie, aby to mogła zrobić, odpowiedział Mayer, oburzony podłością Zuzi.

Wreszcie na prośbę Sylwii wyszedł za swoją żoną i zawołał na nią głośno.

Zamiast stanąć, przyspieszyła Zuzia jeszcze kroku. Biegła w kierunku rzeki.

— Stań Zuziu — zawołał Mayer — ja ci nic złego nie zrobię.

Lecz Zuzia biegła dalej, nie odwróciwszy nawet głowy w jego stronę.

— Zatrzymaj się Zuziu — wołał Mayer — ja ci wybaczam!

Nie wiadomo, czy młoda kobieta słowa te słyszała.

Stanąwszy u brzegu rzeki, szepnęła drżącymi ustami: „Wybacz nam nasze winy" i skoczyła w wodę. Szumiące fale pochłonęły nieszczęśliwą.

Gdy to Józef zobaczył, wydał przeraźliwy okrzyk, i dobiegłszy galopem do brzegu, zrzucił prędko buty i surdut i wskoczył za Zuzią do rzeki.

Pływał wybornie i wytężał wszystkie siły, aby żonę swą uratować, ale silny prąd porwał ją był naprzód. Widział z daleka tylko ciemne jej sploty.

— Trzymaj głowę nad wodą — krzyknął jej głośno — i nie rób żadnych ruchów, bo spadniesz na dno!

Płynął bez wytchnienia dalej, ale stracił Zuzię na chwilę z oczu.

Wtem wychyliła się znów jej głowa z wody, a Mayer złapawszy jeden z warkoczy, owinął go o swą rękę i tak podciągnął ją do góry.

Potem objął ją lewym ramieniem i popłynął z nią do brzegu.

Położywszy nieprzytomną Zuzię na trawie, zobaczył, że tu już nie ma ratunku. Zuzia już nie żyła!

— „Wybacz nam nasze winy" — szepnął poważnie i wziął zwłoki jej na ramiona, aby je zanieść do domu.

Wszystka nienawiść i żal, jaki do żony swej miał za życia, za jej niewierność i nieuczciwość, znikły z serca jego bez śladu.

Zapomniał o wszystkim złym, pamiętając tylko tę odrobinę dobrego, która w niej była.

Tak wracał do cichego swego domku z zwłokami zmarłej w ramionach i z żałobą w sercu.

ROZDZIAŁ CCCXV.

Ostatnia usługa

Od chwili, gdy Sylwia weszła do wnętrza domu, zaczął Sambo nudzić Wakera, aby mu dał obiecane przez nią pieniądze. Nalegał tak długo, dopóki mu wreszcie Waker nie rzucił rulonu dolarów, które Murzyn zręcznie pochwycił i zeskoczył niezwłocznie z wozu.

Pobiegł tak prędko, jak go tylko nogi unieść mogły w stronę Friedrichskron, a my prosimy wysłuchać w krótkości jego losów.

Nagroda Sylwii wystarczyła mu na kilka tygodni wesołego życia. Gdy wreszcie stracił ostatniego talara oglądnął się za nowym zarobkiem. Był obrotny i wpadł na taki pomysł:

Porwał dwuletnią dziewczynkę, która się w trawie w pewnym oddaleniu od swojej niani bawiła, która tymczasem wesoło ze swoją towarzyszką rozmawiała.

Gdy sobie wreszcie o swoim obowiązku przypomniała, dziecka dawno już nie było. Zaczęła za nim wołać i dopytywać się o nie, ale wszystko było daremne.

Nie pozostawało jej nic innego jak wrócić do domu i przyznać się, że dziecko zgubiła.

Rodzice byli w rozpaczy i wszyscy domownicy rozbiegli się na wszystkie strony, aby dziecko szukać, ale gdy późnym wieczorem wrócili bez skutku i bez nadziei, zjawił się Sambo z dzieckiem na ręku.

Opowiadał, jak znalazł płaczące dziecko daleko za miastem, jak się nad nim zlitował i ile trudu miał, nim się o nazwisko i mieszkanie rodziców dopytał.

Uszczęśliwieni rodzice uwierzyli mu na słowo. Wycałowawszy odnalezione dziecko, odprawili niedbałą nanię a Samba suto wynagrodzili.

Mając dzięki swej pomyślności znów pełne kieszenie, wyjechał Sambo tego samego wieczora jeszcze do większego miasta i zaczął pracować.

Praca ta na tym polegała, że kradł dzieci i po pewnym czasie zwracał rodzicom, za co dostawał serdeczne podziękowania i sute wynagrodzenia.

Był to bardzo intratny zarobek. Sambo żył w dostatku i tak później pewnym był siebie, że nie zadawał sobie trudu, by ostrożnie postępować.

Skutek był ten, że go pewnego dnia policjant przyłapał na gorącym uczynku i uwięził. Ze wszystkich stron posypały się skargi na niego, a sędzia skazał go na wieloletnie więzienie.

Po raz pierwszy w życiu musiał ciężko pracować.

Gdy wyjdzie z więzienia, będzie się pewno włóczył po kraju żebrząc i kradnąc, dopóki nie zakończy gdzie pod płotem albo w jakimś szpitalu nędzne i grzeszne swe życie.

. . . .

Lecz wróćmy do fermy Mayera.

Gdy Waker i Tulliwer z daleka zobaczyli wychodzącą z domu Zuzię, a potem Mayera, nie umieli sobie tego wytłumaczyć i aby ciekawość swą zaspokoić, weszli też do wnętrza domu.

Zastali tam Sylwię zapłakaną.

— Co to się stało? — zapytał Waker, który się szalenie zakochał w pannie Herbert — czy może ten Murzyn nas oszukał?

— Nie — odparła Sylwia — mówił prawdę. Panowie byli tak grzeczni mną się zaopiekować, że ja czuję się w obowiązku wytłumaczyć panom, co mnie spowodowało do odszukania Mayera.

Obaj panowie spojrzeli na nią zaciekawieni, a ona opowiedziała im w krótkości swoje losy i przejścia.

Tulliwer i Waker słuchali z naprężeniem i wyrazem smutku na twarzach, które dziwnie spoważniały. Przyszli oni bowiem do przekonania, że nie ma żadnej dla nich nadziei.

Pierwszy Waker otrząsnął się z zadumy i ukłoniwszy się elegancko, rzekł:

— Dziękuję pani za okazane nam zaufanie! Hrabia Wildenstein bezwątpienia wiele przecierpiał, ale ja mu zazdroszczę. Posiada on rzadkie szczęście: czystą miłość wiernego serca!

Tulliwer nie umiał ukryć swego rozczarowania i spowodowanego tym złego humoru. Z zimnym uśmiechem rzekł on do Wakera:

— Mój kochany, trzeba nam się teraz będzie zabrać i pomyśleć o własnym interesie, któryśmy tak długo zaniedbywali. Spełniliśmy nasz obowiązek kawalerski, odprowadziwszy pannę Herbert, jakeśmy obiecali pani Biedermann, a teraz musimy dalej jechać, gdyż tu nic stosownego dla siebie znaleźć nie możemy.

— Możesz sam wyjechać jak chcesz — odparł Waker — ja panny Sylwii tu nie opuszczę.



Poranny spacer nad brzegiem lazurowego morza na Riwierze.

— Panie Waker — nalegała Sylwia — proszę pana usilnie nie zatrzymywać się dla mnie, bo ja tej ofiary w żaden sposób przyjąć nie mogę. Nie wiedziałam, że panowie umyślnie dla mnie tę podróż odbyli, bo byłabym na to nie zezwoliła. Proszę pana raz jeszcze, aby pan pojechał z panem Tulliwerem.

— Nie! — zawołał Waker stanowczo. — Jak mi się pani nie pozwoli odprowadzić, to będę za panią w pewnym oddaleniu jak cień postępował, dopóki pani nie będzie z powrotem w New-Yorku. Mój przyjaciel obraził panią, ale ja przecież nie odpowiadam za niego. Może pani też bezpiecznie przyjąć moją opiekę, bo ja jestem poważnym i żonatym człowiekiem.

Miłość Wakera dla Sylwii była pierwszym, czystym i szlachetnym uczuciem w jego życiu i bardzo korzystnie na niego podziałała.

Tulliwer wysłuchał ze zdziwieniem zeznania swego przyjaciela i rzekł chłodno:

— Zostań, jak chcesz, nasze drogi się rozchodzą!

Podał Wakerowi rękę, ukłonił się Sylwii i wrócił wozem, który na nich czekał, do Friedrichskron. Stamtąd wyjechał do Ohio, wydzierżawił hotel i żył przez kilka lat bardzo przyjemnie, nie troszcząc się wcale o interes.

Skutek był ten, że jego kelner się wzbogacił, a Tulliwer sam zubożał.

W końcu musiał sam przyjąć posadę kelnera, ale na żadnym miejscu długo nie wytrzymał i ciągle zmieniał służbę.

Starość jego bardzo była smutna i samotna. Chciał się ożenić, aby mieć kogoś co by do niego należał i mu sprzyjał, ale żadna dziewczyna za niego wyjść nie chciała, bo rozeszła się pogłoska, że ma żonę w Europie.

Czy się nad nim mamy litować? Będąc młodym igrał lekkomyślnie z najświętszymi uczuciami i łamał bez miłosierdzia niedoświadczone i ufające mu serca. Teraz zaczął zbierać nagrodę za swoje czyny.

— Niech umiera samotny i opuszczony w największej nędzy! Na nic lepszego nie zasłużył!

. . . .

Wróćmy jednak do naszej bohaterki, piękna czytelniczko!

Rozmawiała właśnie w najlepsze z Wakerem, gdy zobaczyła zbliżającego się Mayera z ciężarym swym na ręku.

Umilkła, więc i otworzywszy szybko drzwi, aby Mayer mógł wygodnie wejść, zdjęła kapę z łóżka, na które biedny człowiek złożył martwe ciało swej żony.

— Nieżywa! — mruknął słabym głosem.

Przemokła odzież Zuzi i Mayera zdradziła Sylwii całą tragedię.

— Czy już nie ma ratunku? — zapytała przerażona.

— Nie, — odparł Mayer — nie żyła ona już, jak ją z wody wyciągnąłem. Zgrzeszyła ona mocno, to prawda, lecz śmiercią swą odpokutowała wszystko. Niech jej pani łaskawie przebaczy.

— Wybaczam szczerze i z całego serca — zawołała Sylwia wzruszona.

— Dzięki pani! — szepnął Mayer — proszę mi tylko pozwolić, abym wobec zmarłej spełnił ostatni obowiązek. Potem wrócę z panią do ojczyzny i pomogę pani uwolnić hrabiego, a karę swą za tę winę przyjmę ze skruchą, jako zasłużoną. Cokolwiek mnie spotka, zasłużyłem na to i zniosę to bez szemrania!

— Niech się pan niczego nie obawia — pocieszała go Sylwia — jeżeli nam się uda uwolnić hrabiego Wernera, to on pana z wdzięczności uchroni od wszelkiej kary.

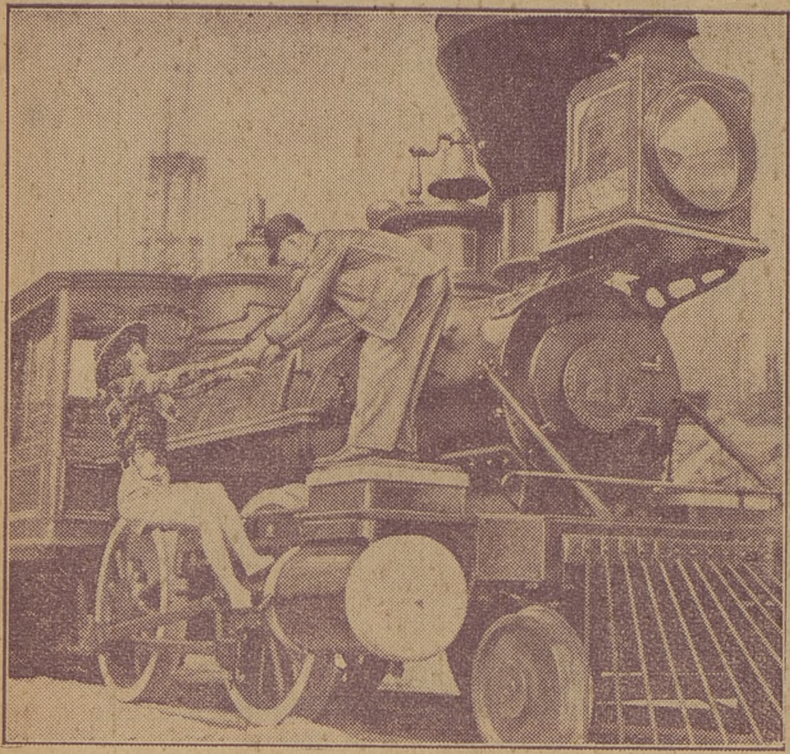
Mayer nie zdawał się bardzo w to wierzyć ,ale nie zdradzał swoich wątpliwości.

Spojrzawszy na zmarłą rzekł smutnym głosem:

— Jeżeli pani pozwoli, to pójdę do Friedrichskron po trumnę. Muszę się jednak pierwej o kogoś wystarać ,aby w mojej nieobecności pilnował domu i doglądał bydła.

— Proszę pana o to — odparła Sylwia i Mayer odszedł z ciężkim sercem.

Dziwna rzecz! Gdy Zuzia żyła, nienawidził i pogardzał nią. Z chwilą jej śmierci jednak, znikły te uczucia z jego serca. Zapomniał zupełnie o jej winie, a we



Weteran parowozów amerykańskich, wzbudził zainteresowanie młodej Amerykanki, która koniecznie zamierza go z bliska obejrzeć.

wspomnieniu jego została ona jako młoda, piękna i wesoła dziewczyna, której urokowi nie mógł się oprzeć.

Przypomniał sobie wyraźnie chwilę, w której po raz pierwszy ją pocałował i rozkosz, którą czuł w dzień wesela, gdy swą młodą żonę wprowadził do swego domostwa.

Wspomnienia te skracały mu drogę przez las.

Doszedłszy do Friedrichskron, udał się najpierw do kupca Wielanda i opowiedziawszy mu co się stało i że musi w ważnym interesie wracać do Europy, zapytał:

— Czy nie mógłby mi pan kogo polecić, kto by w mojej nieobecności zawiadywał moją fermą?

— Owszem — odparł kramarz uczynnie — wczoraj przybyli tu niemieccy emigranci, którzy nie mają tyle pieniędzy, aby coś na własność kupić i chętnie by pańską fermę wydzierżawili. Jest to małżeństwo mające czworo dzieci. Greta zaprowadzi pana po nich.

— Gretko! — zawołał, otwierając drzwi na podwórze.

Piękna dziewczyna była zajęta właśnie na podwórzu wieszaniem bielizny. Usłyszawszy wołanie, weszła do sklepu.

Gdy zobaczyła Mayera, zarumieniła się na chwilę, ale zbladła natychmiast, spostrzegłszy jaki był smutny i stroskany.

— Czy się panu coś złego stało? — zapytała zaniepokojona.

— Żona moja umarła — odparł Mayer smutnym głosem.

— Żal mi pana z całego serca — rzekła Greta, podając mu rękę.

Nie zadawała mu żadnych pytań, co do jej śmierci, bo przeczuwała, że musiało to być samobójstwo.

Wieland polecił Grecie, aby zaprowadziła Mayera do emigrantów, którzy nie bardzo daleko stąd mieszkali.

Zastawszy ich w domu, przystąpił Mayer zaraz do interesu, mówiąc, że chciałby wydzierżawić swoją fermę i że mogliby ją zaraz jutro obejrzeć.

— Żebyśmy to jeszcze dziś mogli zrobić — zapytał emigrant.

— Niestety, nie — odparł Mayer — gdyż zwłoki mojej żony jeszcze w domu spoczywają. Najpierw muszę jej ostatnią przysługę oddać, a potem dopiero mogę pomyśleć o czymś innym. Proszę przyjechać jutro rano, to omówimy resztę.

Pożegnawszy się, wyszedł i poprosił Gretę, aby go jeszcze zaprowadziła do stolarza po trumnę.

Milcząc, uczyniła zadość jego życzeniu, patrząc z litością na tego okazałego, silnego mężczyznę, któremu życie tyle goryczy przyniosło.

W sklepie stolarza wybrał najlepszą trumnę, jaka była na składzie, a jeden z pomocników ofiarował się zawieźć ją na wózku do fermy, za małym wynagrodzeniem. Chciał się nawet równocześnie z nim wybrać w drogę, ale Mayer kazał mu pójść naprzód i rzekł do młodej dziewczyny:

— Panno Greto, kto wie, czy się jeszcze kiedy w życiu zobaczymy! Dziękuję więc pani za dobroć i serdeczność dla mnie. Nigdy o pani nie zapomnę. Bądź pani zdrowa i niech panią Bóg ma w swej opiece!

Ścisnął jej rękę tak silnie, że ją aż zabolała, a potem puścił ją nagle i odszedł spiesznie, nie dawszy jej nawet czasu na odpowiedź.

Piękna dziewczyna popatrzyła za nim ze łzami w oczach, a potem poszła na cmentarz, aby na tym samotnym i spokojnym miejscu wypłakać swój ból, z dala od gwaru ludzkich głów i ciekawych ich spojrzeń.

W domu nie byłaby miała czasu oddać się swemu bólowi, a o niczym innym teraz myśleć nie mogła.

Dlaczego Mayer odebrał jej tak wszelką nadzieję zobaczenia się? Czy on przeczuwa, że ona go kocha i czy dlatego nią pogardza? Czyż to było jej winą, że ona go kochała? Miłość dla niego wkradła się do jej serca tak niespostrzeżenie, że ona przez jakiś czas sama sobie z tego sprawy nie zdawała. Myślała początkowo, że to przyjaźń i wdzięczność tylko, a to już była gorąca namiętność. Jakże jej teraz brakowało miłości matki, której by się ze swego smutku zwierzyć mogła!

Zuzia zawsze ją nienawidziła. Kto wie, czy jej w chwili śmierci nie przeklęła.

Zadrżała na samą myśl o tym i pomyślała:

„Dlaczego raczej ja nie umarłam? Za mną biedną sierotą nikt by nie płakał”.

Wypłakawszy się do syta, uspokoiła się trochę, i wzniósłszy oczy z ufnością ku niebu szepnęła:

„Nie jestem opuszczoną, gdyż Bóg jest mym ojcem i o mnie nie zapomni!”

Pokrzepiona tą myślą, wróciła do domu i zabrała się do pracy.

Nikt z domowników nie przeczuwał, co się w jej sercu działo. Była pracowita, chętna i uczynna jak zwykle.

. . . .

Mayer, powróciwszy do fermy, udał się wprost do ogrodu i zaczął kopać grób dla zmarłej. Podczas tej czynności spływały mu duże łzy po twarzy.

Ta kobieta, którą on niegdyś tak szalenie kochał, miała tu w obcym kraju spoczywać opuszczona i żadna kochająca ręka, nie miała nigdy grobu jej w dzień zaduszny ustroić.

Waker przystąpił do niego i chciał mu w pracy tej dopomóc, ale odparł uprzejmie:

— Dziękuję panu, ale jest to ostatnia usługa dla mej żony, w której mi nikt pomagać nie może!

Tymczasem Sylwia ściągnęła ze zmarłej wilgotną odzież i bez cienia żalu oddała jej tę ostatnią usługę, mimo, że z jej powodu tyle wycierpiała.

Rozbierając ją, spostrzegła pod koszulą dziwnej roboty pasek, który Zuzia na gołym ciele nosiła i odpiąwszy go, mechanicznie położyła na stole.

Potem umyła trupa, przebrała w czystą bieliznę i uczesała.

Uczyniwszy to, poszła do lasu, aby nazbierać trochę kwiatów na ustrojenie grobu i ułożyła je w ładny wieniec.

— Bóg zapłać panienko! — rzekł Mayer ze łzami w oczach, widząc ile trudu sobie Sylwia zadawała. — Spełniła pani przykazanie biblijne: „Kochajcie swoich wrogów i błogosławcie tym, którzy was przeklinają!”

Wreszcie włożył Mayer zwłoki nieboboszczki do trumny ,a Sylwia przykryła je białą kapą i złożyła na niej ręce zmarłej.

Mayer schylił się nad nią i pocałował ją jeszcze raz w czoło. Potem zamknął nad nią wieko trumny.

Z pomocą Wakera zaniósł trumnę do grobu. Następnie zmówił pacierz i rzucił pierwsze trzy łopaty, a za nim Sylwia i Waker.

Potem zgarnął Mayer resztę ziemi i ułożywszy małe wzgórze nad świeżą mogiłą, szepnął:

„Spokój wieczny biednej twej duszy!”

Sylwia oddaliła się dyskretnie, zostawiając Mayera samego i złożywszy ręce modliła się gorąco do Boga, aby jej pozwolił uratować ojca i narzeczonego i aby nie przybyła za późno.

Do matki nie pisała o odnalezieniu Mayera, z obawy, aby się list nie dostał w obce ręce i w nadziei, że jej wkrótce ustnie będzie mogła o tym donieść.

Waker tymczasem przystąpił do stołu i w roztargnieniu swym zaczął się bawić paskiem zmarłej, przewracając go na wszy-

Ciąg dalszy na str. 433.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

GDYBYM...

Gdybym skrzydła miał,
Pofrunąłbym w dal —
Od karpackich hal
Ponad polskiej ziemi łany,
Aż po Bałtyk nasz kochany,
Po fal morskich wał —
Gdybym skrzydła miał.
Gdybym skrzydła miał,
Wzleciałbym bez trwóg,
Gdzie króluje Bóg.
Ponad jasny błękit nieba,
Gdzie gwiazd milion minąć trzeba,
Niechbym z wrażeń drżał...
Gdybym skrzydła miał!
Gdybym skrzydła miał,
Tam, u niebios bram
Rzekłbym kornie sam:
— Daj Polakom — Panie Nieba —
Wszystko, czego im potrzeba. —
To zrobić bym chciał,
Gdybym skrzydła miał...

Kazimierz Łaganowski.

W ODPOWIEDZI NA DEPESZĘ

P. Wanda Pytlewiczówna. Serdecznie dziękuję Ci, Kochana Moja za życzenia nadesłane mi depeszą. Wzruszyłaś mnie niesłychanie i zobowiązałaś tym przeserdecznym odruchem.

Życzę Ci wzajemnie dużo, dużo pomyślności w życiu i całuję tkliwie.

JAK POLUBIĄ, TO NA ZAWSZE!

„Boluś". Nie rozumiem, Kochanie, dlaczego „Krainiacy" tak Cię zaniedbują, ale czuję to, że jak Cię wreszcie polubią, to na zawsze. Proszę Cię mocno, nie trać serca do „Krainy", jej członkowie na pewno nawrócą się do Ciebie i otoczą Cię serdeczną przyjaźnią — okaż tylko cierpliwość. Jak wiesz, we mnie masz życzliwą i niezmienną przyjaciółkę, która rada by Ci nieba przychyliła. Pisz znowu często i dziel się ze mną swoimi troskami i radościami — zaws e mnie obchodzą żywo i pragnę stale być, że tak powiem, w ich środku.

Całuję Cię i serdecznie uśmiecham się do Ciebie, moja miła Dziewczynko!

„Ado St." Za pozdrowienia przesłane ślicznie dziękuję. Zdziwiłam się, ujrzawszy od Ciebie słów kilka w „Krainie". Co porabiasz tam daleko? Adres Twój znam lecz skorzystać nie mogłam — no bo nie miałam prawa — przypomnij sobie, kto komu winien list i wytłumaczenie. Dla wszystkich „Krainiaków" przesyłam moc najserdeczniejszych pozdrowień".

CZY JEDZIECIE DO LWOWA?

„Li — Sokolica". Nie masz potrzeby przepraszania mnie za to, że nie znając mnie wcale, piszesz jak do dawnej dobrej znajomej i nawet przysyłasz swoją fotografię. Owszem rozbraja mnie to i niesłychanie ujmuje dla Ciebie, jako że mam na ogół słabość do ludzi bezpośrednich i otwartych. Fotografia b. miła, ale do reprodukcji nieodpowiednia, bo jest zbyt prześwietlona.

Trochę zasępiam się na myśl, że byłaś kilka razy autem w Żninie i nie zdobyłaś się na odwiedzenie mnie w redakcji, ale usprawiedliwia Cię to, że nie będąc jeszcze członkiem „Krainy", a jedynie abonentką „Moich Powieści" — nie czułaś się tak bliską mnie jak będziesz się czuła w przyszłości, jako „Krainianka". Prawda?

Więc Ty pragniesz między innymi poznać się z jakimś druhem-sokołem, wybierającym się na zlot do Lwowa?

O ile wiem, mamy w naszym gronie kilka sokolic i kilku sokołów, lecz nie wiem, którzy z nich wybiorą się na tegoroczny zlot. Jeżeli będą tacy, to na pewno zainteresują się Twoją propozycją i skomunikują się z Tobą. Miło było by mi, gdybyś znalazła sobie grono złożone z miłych sokolic i sokołów jadących na ten zlot.

A teraz pozdrawiam Cię mile i zamieszczam Twój apel:

„Halo, „Krainiacy" z Wągrowca! Może ktoś z Was zna sokolicę Bronkę Błaszkównę, pracującą rzekomo w jakiejś księgarni w Wągrowcu? Proszę zatem o podanie mi jej adresu.

Wszystkim „Sokolicom" i „Sokołom" ślę nasze sokole pozdrowienie: „Czołem"!

GDZIE ZNALEŹĆ?

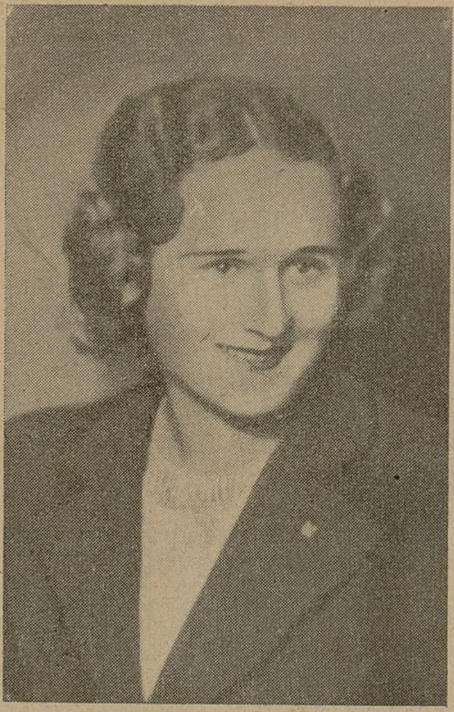
„Beler". Przypominam sobie nazwisko Pana i wiem, że jakkolwiek nie należysz do gorliwie korespondujących, to jednak do stałych i wiernych członków „Krainy". I dlatego chętnie uwzględniam Pana prośbę i zamieszczam wyjątek z Jego listu w tej myśli, że uda się Panu znaleźć, co szukasz:

„Jestem nauczycielem i to jeszcze młodym. Praca w tym zawodzie daje mi pełne zadowolenie. Nadchodzą jednak wakacje. Dziecianria pójdzie wypoczywać i ja o tym samym myślę. Ale gdzie właśnie znaleźć miejsce, w którym by naprawdę można spędzić czas mile i wesoło? Znam prawie już całą Polskę, a przy tym w miejscowościach letniskowych, czy innych brak jest pełnej swobody, a mnie właśnie o to najwięcej chodzi.

Może ktoś z ogromnej rzeszy należącej do „Rodzinki" zechce mnie zaprosić do siebie (rozumie się za opłatą). Sądzę, że wtedy naprawdę mógłbym spędzić wakacje bardzo przyjemnie.

A może do „Krainy" należy ktoś z nauczycielstwa, to może napisze do mnie i urządzilibyśmy sobie jakoś wakacje. Zależy mi na miłym towarzystwie!

Czekam więc na oddźwięk i pozdrawiam całą „Krainę"!



„Renal z Kujaw" przesyła nam pełen wiosennej urody i słodyczy — uśmiech.

KOMUNIKAT PRZEDRUKOWUJĘ

P. J. Baranowski. Sprawa, w której się Pan zwrócił, zostanie załatwiona przy końcu bm. Pozostaje jeszcze komunikat Pana dla p. Grzegorskiego który poniżej przedrukowuję. Pozdrawiam Pana serdecznie.

„Panie Grzegorski! Za życzliwą pamięć i uznanie — w poświęceniu mi tak miłego wierszyka — stokrotnie Panu dziękuję i nawzajem życzę twórczego natchnienia oraz radosnej, słonecznej wiosny!

Wierszyk Pana zachowam na zawsze w pamięci.

Z serdecznym uściskiem dłoni

Józef Baranowski — Poznań".

SPRAW SOBIE KOMPLET

„Zbłąkana Gwiazda" Nie przeszkadza mi to absolutnie, że masz do mnie zawsze jakieś prośby, przeciwnie, z chęcią służę Ci radą i pragnę, aby była skuteczna.

I tak, kostiumy i płaszcze lniane w dalszym ciągu są bardzo modne. Uważam, że komplet praktyczniejszy jest, gdy składa się ze spódniczki, bluzeczki i żakiecika. Kapelusik możesz sporządzić z tego samego materiału, a także duża torebkę i sandałki. Taka całość daje zawsze wdzięczny efekt, i jest niekosztowna.

Zasyłam Ci miły uśmiech i czekam na nowy list!

DAWNO JUŻ!...

„Wymarzona". Co u Ciebie nowego, — Dziecko? Zdaje się, że dawno już nie pisałaś. Za nadesłany adres dziękuję Ci i przedrukowuję komunikaty:

„Zdobywco serc II" — wybacz, nie mogę inaczej! Proszę nie czekać na inną odpowiedź. Dla „Tereni ze szlacheckiego dworku", „Ptaszyny znad morza", „Afrodyty z hultajskiej trójki" i „Miłej zapałki" — całusy!

Halo! „Samotny Chorzów I" — może otrzymam od Pana list? Czy spełni się moje życzenie?"

„SERCE PEŁNE RADOŚCI!"

„Czarodziejka". Jak ktoś pisze tak entuzjastycznie o wiośnie, to koniecznie należy podać to do wiadomości ogółu „Krainiaków" — niech i ich porwie jego młodzieńcze wesele i zapał:

Wiosna... serce po brzegi pełne radości! Wszystkie myśli i czucia niewymownej radości ubzierały się w sercu, chciało by się je wyrazić, a nie można znaleźć słów.

By móc wypowiedzieć mą wielką radość, szukam słów gorących, rozpromienionych weselem, a cisną mi się pod pióro same „zużyte" i codzienne. — Ale wiem, że mnie Pani bez nich zrozumie. O, wiedz Pani, że chciałabym nimi wypowiedzieć, jaki nadmiar radości i zadowolenia czuję! Jestem szczęśliwa! zupełnie szczęśliwa — niech wystarczą te skromne słowa, za inne pełne promiennej radości.

Smutki, tęsknoty uleciały z wichrem zimowym — żyję jeno wiosną i słońcem.

I dzisiaj, gdy piszę, jest ciepło i jasno, a powietrze pachnie wiosną!

Może wrócą zimna, ale mnie już nie zmrożą — zanadtom radosna!

„Rusałko", „Marzący Ramonie N". — jeżeli macie ochotę na dalszą korespondencję ze mną — piszcie!

Proszę o listy „Krainianki" i „Krainiaków" z sąsiedztwa — Brodnicy. Adres mój na poste-restante Nowe Miasto Lubawskie, Pomorze dla Lidii S.

Całą „Krainę" — pozdrawiam?

Pani ślę wszystkie moje dobre myśli i tę przeogromną radość!"

Masz słuszność, Dziewczynko, posyłając mi zamiast pozdrowień wszystkie swoje dobre myśli i tę przeogromną radość, jaka Cię dosłownie rozpiera. A dlaczego? Zupełnie po prostu! Twoje wesele i to jakieś szczególnie promienne zadowolenie i mnie się udzieliło. Pisz więc do Ciebie, a oczy mi jaśnieją i serce wystukuje lekki, młodzieńczy rytm wiosenny. Twoja to zasługa!

Jedź z powodzeniem na tę pielgrzymkę do Częstochowy, a u stóp Matki Najświętszej nie zapomnij zmówić „Zdrowaśki" na moją intencję. Modlitwa wyszeptana w promieniu zasięgu jej wzroku podobno jest skuteczniejsza niż inne.

APEL „KRAINIAKÓW"

Halo! Torunianki! Pragnę znaleźć wśród Was milutką towarzyszkę spacerów i przyjaciółkę. Która z inteligentnych, kochanych Dziewczątek (lat 18—20) napisze do mnie? Poste-restante — Toruń „Z".

WZRUSZYŁAŚ MNIE!

„Królowa Gizella“. Wzruszyłaś mnie, Kochana, żarliwością życzeń, przesłanych mi z okazji mego święta. Bardzo Ci za nie dziękuję! Nie! Jednak się nie przełamię i dam urywek Twego listu do „Krainy“:

„Z okazji zbliżającego się święta Pani, pozwalam sobie na wstępie mego listu przesłać Drogiej Pani moc najszczerszych życzeń, by Bóg użyczył wiele łask, a przede wszystkim zdrowia i długich lat życia, i by Kochana Pani jak najdłużej mogła przewodzić tej Swojej gromadce. Niech Bóg osładza każdy krok Pani i pozwoli Jej przejść przez życie po samych różach.“

Proszę przyjąć moje skromne życzenia, jako pochodzące ze szczerego serca. W modlitwach moich nadal pamiętać będę o Pani, a szczególnie w dniu święta Pani.

Jak to musi być pięknie móc obchodzić imieniny w tak pięknym miesiącu, jakim jest maj. Cała przyroda cieszy się razem z Panią, i śpiewa Jej o tej miłości, którą obdarzamy Panią. Dzień Pani święta jest niewątpliwie i świętem całej naszej wielkiej „Rodzinki“.“

Słodka jesteś w tych swoich życzeniach i bardzo Ci to będę pamiętała. A gdybyś tak zdecydowała się przysłać swoją fotografię — co? Bardzo byłabym zadowolona! Może nawet tak bardzo, jak z faktu Twego awansu służbowego. Dziękuję Ci za zjednanie nowej prenumeratorki „Moich Powieści“. A czy ta pani wstąpi także do „Krainy“?

Powieści Ci się podobają — to ładnie! Życzę Ci z serca, aby „Krainiacy“ poznali się wreszcie na Tobie i całuję serdecznie.

„Halo! „Stepowy Płomieniu“ — dlaczego milczysz? Czym zraziłam? Proszę o zwrot fotki.

„Rolnik“. Przepraszam za milczenie, ale korespondencja nie dałaby obopólnego zadowolenia.

„Elem nad Notecią“. Czy wie Pan, kto się ukrywa pod powyższym pseudonimem? Przesyłam moc pozdrowień i oczekuję listu!

„Revelersowi“ dziękuję za pozdrowienia, które były przesłane pod dawniejszym pseudonimem. Odwzajemniam je w pełni. Cieszyłabym się na liścik, znad polskiego morza. Odpowiedź murowana.

Również ślę pozdrowienia dla „Białej Uajali“, „Bajki“, „Bursztynowego Serduszka“, „Wytwornego Włóczęgi“, „Urana“ „Takiego Jednego“ no i dla wszystkich „Krainiaków“ i proszę również o pamięć.

„Czarny Hajduczku“. Bardzo, a bardzo dziękuję za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam. Może napiszesz parę słów?

Również pozdrawiam „Zbijobruka Poznańskiego“, „Jasia z P. O. P-u“, „Starego Kawalera“ i „Barona Cygańskiego“. Co porabia „Antek Granaciarz“? Możeby tak przesłał liścik do „Królowej Gizelli“?

DZIĘKUJĘ CI DZIECINKO!

„Jasieńka“. Oj, naczekałaś się, Kochanieńko, na tę odpowiedź, ale ją wreszcie masz. Serdeczne i słodkie są wszystkie słowa, wypisane na tym bladoliliowym, delikatnym papierze — tak subtelnie podchodzisz do mnie i tak Ci na serduszku leży mój spokój i moje szczęście! Dziękuję Ci, Dziecino! Odpowiadam też szczerze na Twoje, niespokojną troskliwością podyktowane pytania, że jest mi teraz dobrze. Że prawie niczego nie potrzebuję i za niczym konkretnym nie tęsknię. Jest to, o co pytałaś, a reszta sama przyjdzie lub sama „przejdzie“, odpowiednio do losów, jakie się nam gotują tam u góry.

Powiedz mi, czy zawsze jeszcze korespondujesz z „Wisią“ i czy dobrze Wam z sobą? Chociaż właściwie nie wątpię w to, gdyż znam „Wisię“ jako słodkiego, złotego dzieciaka. Kochajcie się i pamiętajcie o nas, Smyki Kochane!

„Wisia“ — czy jeszcze jesteś w domu? Całuję kochaną Twą buzię.

„Romantyczny Cyganie“! Pozdrawiam i czekam na obiecany list. Za pocztówkę dziękuję.

W imieniu „Wisi“ pozdrawiam „Krainiaków“ z Panią Zofią na czele!“

NIE MOGĘ ZAMIEŚCIĆ.

P. Czesław Sch. — Wrześnią. Niestety, z przykrością muszę Panu donieść, że wierszyka zamieścić nie mogę, ponieważ jest zbyt słaby do druku. Jeżeli ma Pan inne, proszę nadesłać do oceny, może któryś z nich będzie szczęśliwszy.

Z przyczyny wyżej wymienionej upada ewentualność przesłania Panu owych 2 egz. opłaconych z góry, dlatego wpłacone 75 gr przekazałam na konto Pana prenumeraty. Czy nie ma Pan nic przeciwko temu?

Za życzenie pomyślnego rozwoju naszego tygodnika serdecznie dziękuję i w odwzajemnieniu ślę Panu dobre życzenia.

DZIĘKUJĘ I PROSZĘ!

„Żymełka“. Serdecznie dziękuję Ci, Dziecinko, za życzenia i proszę o długi, długi list.

PROŚBĘ SPEŁNIŁAM

„Przedwiośnie“. Dziękuję Ci za nadesłany adres. Przyjemnie było mi przyjąć do wiadomości, że w serduszku Twoim jest jasno i słonecznie — znaczy to, że już przezwyciężyłaś czarność przykrych wspomnień. To dobrze!

Czekam na ten przyobiecany długi list — więc przysyłaj go szybko!

Panu J. Baranowskiemu oznajmiam w imieniu „Przedwiośnia“, że jest pełną uznania dla jego cudnych wierszy i prosi go o ukazanie się na zdjęciu w „Krainie“.

Prośbę Twoją spełniłam już też — zatem bywaj mi na razie.

CZY PAMIĘTASZ?

„Blanka“. Kochana! Dziękuję Ci za życzenia wyrażone w formie wierszyka. Schowam go sobie na miłą pamiątkę.

Czy pamiętasz, że naznaczyłaś termin przyjazdu wraz z „Czarnym Hajduczkiem“ na drugą połowę maja lub początek czerwca? Myślę, że nie zmieniłyście tych planów i cieszę się na rychłą wizytę dwu moich pieszczotek.

Tak, mamy już tę tak niecierpliwie oczekiwaną przez Ciebie i wielu innych — wiosnę! I rozpromieniła się nam wreszcie tysiącem gorących promieni, przejasnych słonecznych grotów.

Fotografia znalazła miejsce w albumie i tam poczeka na przyobiecane inne. Kiedy je przyślesz?

Pozdrawiam Cię i podaję, że Reni ślesz całusy, a całej „Krainie“ uśmiechy.

PODAJĘ NA ŻYCZENIE

„Samotny Chorzów I.“ Odpisuję na list Pana z 9 kwietnia. Sprawę regularnego dosyłania naszych pism poruczyłam administracji, która zrobiła reklamację na poczcie i odpisała Panu. Sądzę, że teraz doręczają już Panu w należytym czasie przesyłki pocztowe.

List dosłałam. Czy odpowiedź była, nie wiem.

Prosił Pan o adres tej Pani, która dała apel w numerze 2-38 r. „Mojej Przyjaciółki“ — otóż on: Janina Młynarska, Włocławek, ul. św. Antoniego 44 m. 8.

Na list z data wcześniejszą odpowiedziałam już Panu obszernie.

Na razie pozdrawiam Pana i życzę Mu dużo miłych chwil w tej pięknej miejscowości kuracyjno - letniskowej i przechodzę do komunikatów:

„Halo! Wszystkim Siostrzyczkom i Braciszkom z „Krainy“, wszystkim osamotnionym i smutnym zasyłam serdeczne pozdrowienia i proszę piszcie! Odpowiedzi i fotki zapewnione.

„Orlico“! O jakiej obraźliwej kartce mówisz? I dlaczego piszesz mi impertynencje? Co oznaczają te kropki w zdaniu: „Szukamy szczerej wymiany myśli, a nie go...ki. Nie rozumiem, o co Ci chodzi!“

Teczka Wujka Janusza

BRAK LEKKOŚCI I PŁYNNOŚCI...

Juvenalis“. Wiersze Pana składają się z ładnych i miłych myśli, jednakże myślom tym brak jeszcze lekkości i płynności. Radzę zatem Panu zastanowić się nad każdym zdaniem, nim zdecyduje się Pan oddać wiersz do druku. To jest bardzo ważne! I od tego właśnie będzie zależał rozwój popularności Pana w mojej „Teczce“. Wiersz — „Majowe przekwitanie“ — oddaję do druku w bieżącym numerze. „Wiersz o matce“ jest bardzo ładny, ale mogę go zamieścić dopiero po poprawce. Proszę uwzględnić w tym utworze przede wszystkim rytm! Żegnam Pana serdecznymi pozdrowieniami!

MAJOWE PRZEKWITANIE

Wiosenny urok kwiatami
rozsiewa sad,
śnieży się, śnieży zewsząd aksamit,
W uśmiechu płyną chmurki w dal.

Pyszni się grusza, stroi się jabłoń
w otoku srebrnych barw —
urok powodzią dopływa bladą
poprzez kobierzec traw...

Ach, pójść utonąć w bezbrzeżnej bieli,
w puchach rozkwitłych śliw,
albo w czeresień mlecznej topieli,
wśród których słońce blaskiem lśni...

„Juvenalis“.

CO ZROBIĆ Z WIERSZYKIEM?

„Te-Em“. Niestety, nie mogłem uczynić zadość życzeniu Pana z tej prostej przyczyny, że w chwili, gdy odebrałem pocztówkę Pana, materiał był już oddany do druku. Co teraz zrobić z wierszykiem? Czy mimo wszystko wydrukować go? Czy może zwrócić, aby kolega mógł życzenia przesłać listownie?

MOJE SERCE

Moje serce zostało na dalekich drogach...
Błąka się tam po polach, po wydmach, rozłogach,
W jasne noce miesięczne na kurhanach siada,
W wiatr mu dziwne baśnie szeptem opowiada...

I po cóż mam je budzić z sennych marzeń, po co?
I do życia szarego wołać je przemocą?
Kiedy mu tam tak dobrze wśród stepowej ciszy,
Jest szczęśliwe... Spokojne... Życia burz nie słyszy.

Uśmiechnięte tym dawnym promiennym uśmiechem,
Widzi zawsze te same swej wiosny obrazy...
Nuci piosnki żałosne, nikomu nieznane...
Wiatr po polach je niesie w dal rozlewnym echem...
Tak pod dziwnym urokiem nieziemskiej ekstazy,
Trwa cicho moje serce... Serce obłąkane...

Irena Pieczkowska.

WIERZ MI...

„Uran“. Ostatni list Pana, to jakby przymierze cichej przyjaźni ze mną. Dziękuję Panu „Uranie“, za wszystkie dobre słowa, za to przywiązanie i zaufanie, jakimi mnie darzysz i wreszcie za tę miłą obietnicę częstego pisania do mnie. Wierz mi, że potrafię to ocenić i zawsze znaleźć miejsce w mojej szczupłej stosunkowo „Teczce“, aby odpowiedzieć Ci na każdy list.

Z nadesłanych wierszy wybrałem do druku następujące: „Kocham“..., „Śpiewaj mi skowronku“, „Gdzie miłość“... i „Płynie strumyk“. Wiersz — „Najdroższa“ — pójdzie wkrótce na okładkę. Nowelka, niestety, wypadła dość banalnie, wierzę jednak, że przyszła będzie już lepsza. Ślę Panu dużo dobrych życzeń na przyszłość i łączę uścisk dłoni.

PŁYNIE STRUMYK...

Poprzez łączkę strumyk płynie,
szemrze, skacze, w słońcu lśni —
Nad strumykiem, o dziewczynie,
Chłopiec marzy, słodko śni.

Strumyk łączkę wzdłuż przecina,
spiesznie bieży, pląsa, drga —
Smutna stoi tuż dziewczyna,
Chłopca pragnie, za nim łka.

Strumyk wpada hen do rzeki —
Złącz swe serce, chłopcze, z nią,
Nie na moment, lecz na wieki,
Niech wciąż będzie lubą twą...

„Uran“.

Raj kobiet

Tajemnica zachowania wiecznej młodości

Nietylko młodość bywa porywającą. Są w życiu kobiety, które jak bohaterka „Grudniowej miłości" Hichensa mają w jesieni życia czar nieodparty, są otaczane, wielbione, naśladowane, popularniejsze od wielu młodych piękności. Są to kobiety wyjątkowe, kobiety, których nie zapomina się łatwo, ani szybko. Zdaje się, że lata niespostrzeżenie przepływają nad ich głową, że nie mają nad nimi władzy.

Są to przy tym kobiety mądre, które zdają sobie sprawę z tego, co się przyczynia do ich wiecznej młodości i nie pragną dla siebie tylko zachowania tego sekretu. Sekretu, o różnych odcieniach, zależnie od indywidualności, ale prostego, nietrudnego do naśladowania, na pozór przynajmniej.

Eleanor Glyn — jedna z najpoczytniejszych autorek świata, wyrocznia Ameryki w dziedzinie mody, twórczyni wielu sław filmowych — ma obecnie 73 lata, a wygląda na 50. Pytającym ją dziennikarzom co zrobiła z 20 przeszło latami — odpowiada, że zniwelowała je prosta recepta.

Trochę humoru, trochę wiary w siebie, zainteresowania, ciekawości, trochę próżności i przedsiębiorczości poddane pod władzę samoopanowania — to niezawodny środek na zdobycie powodzenia i zachowania młodości. Doprawdy, gdyby próbującego miała nagrodzić część tylko sukcesów życiowych, jakie stały się udziałem Eleanor Glyn — warto spróbować.

Eleanor Glyn pochodzi z Anglii — i jej ojczyzna chlubi się niejednym typem nieprzeciętnej kobiety w jej wieku. Salon hrabiny Oxford znany jest w całej Anglii i goście u siebie elitę towarzyską i umysłową. Goście hrabiny Oxford nie nudzą się nigdy, bo pani domu twierdzi, że nuda jest wrogiem szczęścia, jednym z najgorszych w ogóle wrogów człowieka. W ruchliwym życiu hrabiny Oxford każda godzina była czymś wypełniona i temu przypisuje ona swój młody wygląd mimo podeszłego wieku, twierdząc, że nigdy nie zachowałaby go gdyby tak, jak większość dzisiejszych kobiet żyła w wiecznej pogoni za czymś, ulegając wszystkim wymaganiom mody i nie mając nigdy czasu na coś istotnego, wartościowego.

Tą samą pochwałę pracy głosi inna czarująca lady, przeszło 60-letnia księżna von Atholl wiecznie pochłonięta pracą polityczną i społeczną zawsze zdrowa, śmieje się z nerwowych, histerycznych kobiet.

Mary Tempest popularna ogromnie artystka londyńska — debiutowała w filmie mając 72 lata, twierdząc z humorem, że kiedyś przecież trzeba zacząć. Do dziś dnia trudno uwierzyć w jej wiek widząc ją na scenie. Mary Tempest przypisuje to swemu zamiłowaniu do ruchu i regularnemu trybowi życia i zainteresowaniu swą sztuką.

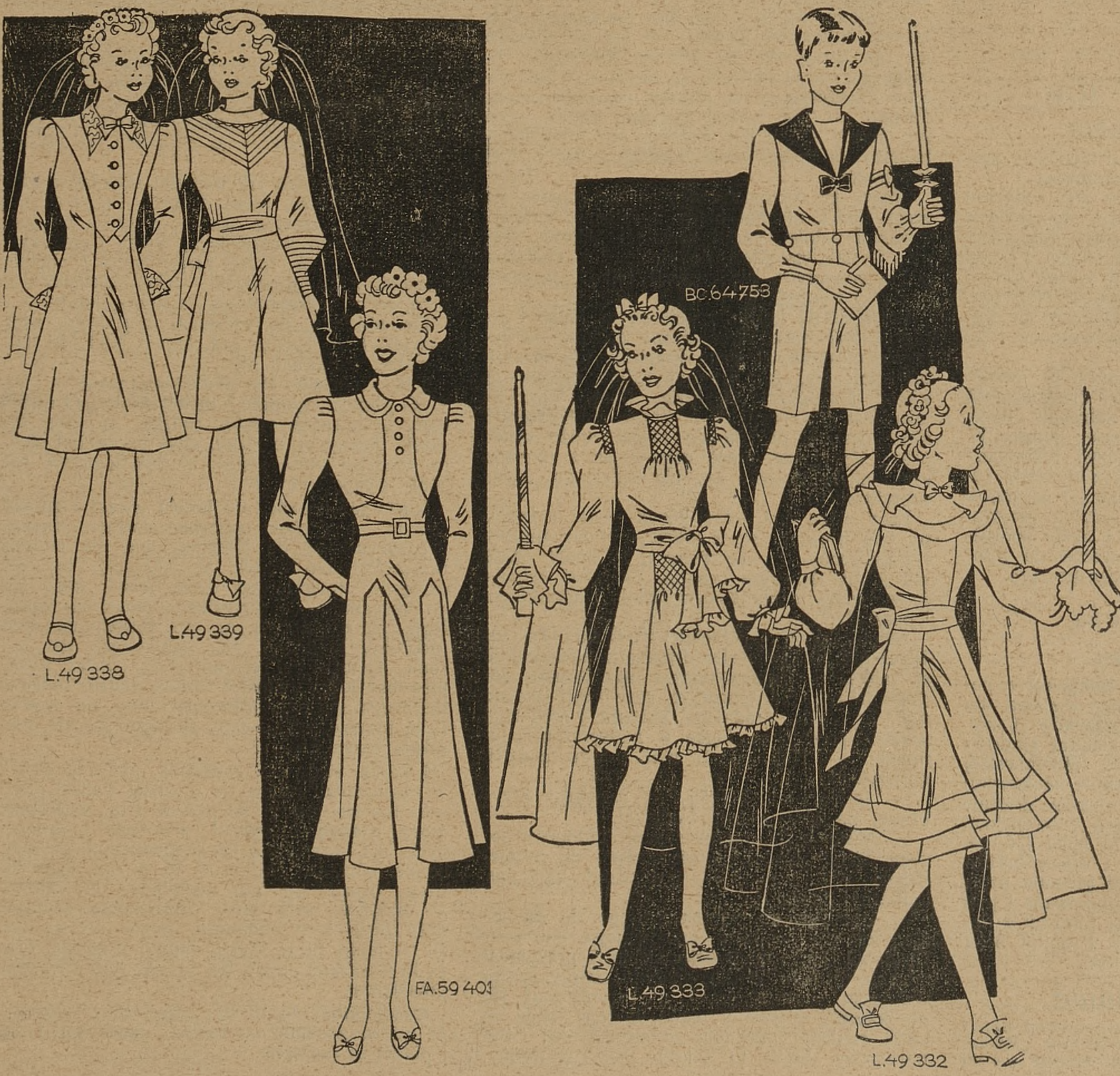
Słynna Mistinguette, tak chętnie podobno przyznająca się do swego wieku — ma bardzo krótki przepis na wieczną młodość — czuć się ciągle młodym. Gorącą jego zwolenniczką jest gwiazda filmowa Merle Oberon, dla której wprawdzie nie ma jeszcze miejsca wśród tych starszych, przynajmniej według metryki — kobiet, ale która zgadza się z nimi w zupełności. Merle Oberon, której młodość upłynęła w ciężkich warunkach, nie odbierając jej piękności — postanawia zawsze czuć się młodą, bo myśl o starości przyspiesza ją, a człowiek jest dopóty młodym dopóki się nim czuje naprawdę.

Różne sądy — różne recepty. Ale zgadzają się w jednym, nie apoteozują instytutów kosmetycznych, lekceważą zewnętrzne zabiegi koło urody. Według wszystkich tych kobiet czas zatrzymuje w biegu nie szminka i masaż, ale czynne, pełne zainteresowań życie, cel jakiś, praca z zapałem, ruchliwość nie tylko fizyczna, nie jednoznaczna z dzikim rekordowym tempem, ale z celowym wyzyskaniem każdej godziny — pracy, zabawy czy odpoczynku. I te mądre kobiety twierdzą, że ten poszukiwany tak gorąco jak kamień, filozoficzny — eliksir wiecznej młodości — jest prawie jednoznaczny z tym „czymś" — co można nazwać dążeniem do pełni życia i bogatą treścią wewnętrzną. Tym samym ta recepta tak prosta, nie dla każdego jest osiągalna, nie stanie się nigdy modą. A szkoda! Bo kobiety, które ją dają są większą i bardziej przekonywującą jej reklamą niż właścicielki wielu salonów piękności. Posiadły przytem zapomnianą dla tylu kobiet dzisiejszą, trudną ale piękną sztukę starzenia się. Przesunęły granice lat. Bez ośmieszania się zwalczają starość, odsuwają ją póki się da, wiedzą, że można upiększyć i wyzyskać jesień życia. Ale wiedzą także, że kiedyś trzeba, i wiedzą jak trzeba poddać się jego zimie.

Człowiek w twórczości Reymonta

(W 70-tą rocznicę urodzin.)

Mało jest pisarzy na świecie którzy by zdobyli tak wielką sławę, tak wielki rozgłos przez



L 49 333 Urocza sukienka dla dziewczynki, przystępującej do pierwszej Komunii św. Uszyć ją można z organdii, przybierając marszczeniami i falbankami, potrzeba około 2,56 m organdii, szer. 95 cm.

L 49 332 Sukieneczka do Komunii św., uszyta z białego jedwabiu. Kołnierz złożony z dwóch falbanek i zakończony kokardką, podobnież rękawki. U dołu także falbanki, harmonizujące z kołnierzem. Potrzeba około 3.15 m jedwabiu, szer. 90 cm.

BC 64 753 Z białej wełny uszyć można to ubranko, dodając kołnierz z ciemnoniebieskiego jedwabiu. Potrzeba 2,50 m wełny i 0,50 m jedwabiu, szer. 80 cm.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji w cenie 1,60 zł.

L 49 338 Elegancka sukienka z lekkiej wełenki, przybrana kołnierzykiem i mankiecikami naszytymi sutażem. Potrzeba około 2,50 m materiału, szer. 80 cm.

L 49 339 Wdzięczna sukienka z białego marocain. Miłe są zakładeczki imitujące karczek i urozmaicające dół rękawów. Pasek uszyty w kształcie tak modnej obecnie szarfy, związanej z tyłu w dużą kokardę. Potrzeba 2,50 m materiału, szer. 90 cm.

FA 59 403 Skromna w fasonie, lecz uszyta z wytwornego crepe satin jest ta sukienka. Potrzeba około 2,50 m materiału, szer. 95 cm.

stworzenie epopei o narodowym charakterze, a równocześnie opartej na ogólno-ludzkich motywach — jak autor „Chłopów“, Wł. Reymont.

Historia chłopa polskiego, jego życie, praca i trud wszystkich dni i wszystkich dni radość. Właśnie ta radość i właśnie ten trud stworzył z „Chłopów“ dzieło na miarę dzieł Dantego.

Po wielu dziesiątkach lat, w których literatura całego świata nie dawała nic prócz sceptycyzmu i zniechęcenia do życia z trudu tego życia wynikającego, dzieło Reymonta tworzy filozofię innego życia, życia które bez trudu, bez pracy i całego ciężaru losu, nie znalazłoby nigdy pełnej radości ani rozkoszy.

Człowiek Reymonta jest częścią ziemi, jest grudą chleborodną i jest skazany na wieczną pracę i trud.

Jego już rzeczą jest, gdzie i jak ma szukać radości, pewnym jest jednak, iż życie bez pracy, bez trudu, skazane być musi na wieczną rozpacz i smutek.

Sakramentem zaś życia jest każdy wysiłek, każda kropla potu, każdy przepracowany dzień.

Dotychczasowy optymizm w literaturze wypływał zawsze nie z optymizmu abstrakcyjnie pojętego, ale z optymizmu ustalonego w realnych formach wypadków i zdarzeń — konkretnych.

To wszystko, co było poza optymizmem, pozostawało na zawsze ciemną stroną życia i tego życia martyrologią.

Reymont optymizmu i radości życia szuka gdzieindziej, szuka jej właśnie w tych ciemnych stronach ludzkiego bytowania.

To był reymontowski nowy uchwyt życia, nowe tego życia i ludzkiej duszy zrozumienie i uzmysłowienie jej w twórczej formie literackiego dzieła.

Szwedzka akademia przyznaje pisarzowi najwyższe literackie odznaczenie, nagrodę Nobla. Wzbogaca się literatura świata, imię Polski i polskiego pisarza, którego dzieło uzyskuje tłumaczenia na wszystkie języki świata, obiega kulę ziemską.

S. R.

Ze świata

Specjalne pociągi dla fotografów-amatorów

W Norwegii zaprowadzono od niedawna specjalne pociągi dla fotografów amatorów.

Zaprowadzenie tych pociągów jest rodzajem eksperymentu, mającego na celu dostarczenie amatorom fotografom sposobności dokonywania zdjęć rozmaitych pięknych okolic. Pociągi dla fotografów jeżdżą po najbardziej obfitujących w piękne widoki częściach Norwegii, przy czym na każdej stacji zatrzymują się dłużej, aby fotografowie mieli czas wykonać zdjęcia ciekawszych widoków.

Przeważnie pociągi dla fotografów amatorów jadą w kierunku, który jest niespodzianką dla pasażerów. Pasażerowie nabywają bilety nie znając celu, od którego pociąg jedzie. W pociągu są laboratoria i ciemnice pozwalające amatorom fotografom na wywoływanie natychmiastowe zdjęć. Ponadto jeden z wagonów zawiera magazyn wszelkiego rodzaju przyrządów i przyborów do fotografii i każdy podróżny może wszystko co mu potrzeba do fotografowania nabyć, nie opuszczając pociągu.

Zagrożona fundacja Curie-Skłodowskiej

Prasa francuska rozpoczęła kampanię z powodu ciężkiej sytuacji, w jakiej znalazła się ostatnio fundacja imienia małżonków Curie. Fundacja ta, którą utrzymuje instytut rządowy im. prof. Curie i Marii Curie-Skłodowskiej oraz szpital znany w całym świecie naukowym, utrzymywała się od dłuższego czasu głównie dzięki dotacjom i zasiłkom oraz subwencjom, otrzymywanym od państwa. Od kilku lat, zarówno dotacje na ten cel, jak i ofiary bardzo zmalały, a subwencje udzielane głównie przez państwo, zostały prawie zredukowane i jeśli miasto Paryż i rząd nie przyjdą fundacji z pomocą, to zarówno instytut jak i szpital będą musiały zawiesić swą działalność.

Dobrowolny niemowa

Sensacją miasta Audubon Ia jest obywatel nazwiskiem William Perry, noszący przydomek „Milczącego Billa“, który od 50 lat nie odezwał się do nikogo słowem. Przed pół wiekiem narzeczona „Milczącego Billa“ porzuciła go i od tego czasu Perry ślubował dożywotnie milczenie, dochowując święcie swego przyrzeczenia, danego skutkiem zawodu miłosnego. „Bo miłość jest to prawdziwy szał!“ — jak mówi znana piosenka.

MUNIA TOLINA

Powrót Janka

(Nowela)

(Dokończenie.)

— Więc, więc pani jest, chociaż to brzmi nieprawdopodobnie, bo pani jest tak młoda, może to jakaś pomyłka, więc pani jest moją matką, jestem Jan Ziegler, ojciec t. j. Alfred Ziegler umarł, przed śmiercią dał mi ten adres i nakazał odwiedzić — wyrzucił z siebie jednym tchem Janek.

— Ach tak, więc jest pan moim synem, proszę, usiądźmy, porozmawiajmy, powiedziała kobieta chłodno.

Zmieszany i wylękniony usiadł Janek. Nie tak sobie wyobrażał tę matkę i nie tak wyobrażał spotkanie z nią; wygląda tak młodo, może raczej ujść za jego siostrę, niż za matkę. Patrzyła na niego z drwiącym i pobłażliwym uśmiechem, biedny chłopiec gotów był rozpłakać się z udręki. Nagle rzuciła pytanie. — Po co właściwie przyjechałeś?

Chciał jej odpowiedzieć, że przyjechał po to, aby poznać rodzinny kraj, ale przede wszystkim dlatego, że chciał poznać ją, swoją matkę, że chciał opowiedzieć, jak tęsknił do niej w dziecinnych snach, jak marzył o tym spotkaniu, lecz nie powiedział tego wszystkiego, a tylko niepewnym głosem coś zaczął bąkać o tym, że tak ojciec t. j. Ziegler kazał, że zamierza tu studiować, że... zamilkł wreszcie zupełnie zakłopotany.

A wtedy matka z okrutną bezwzględnością zaczęła tłumaczyć synowi, że się go wyrzeka po raz drugi, że nie jest jej potrzebny, że wcale go nie oczekiwała, że nie żyje z jego ojcem, Nadolskim, bo wyszła za mąż za p. Mirottę — jest przecie kobietą młodą, chce żyć, bawić się, a tak dorosły syn kompromitowałby ją tylko, prosi więc go, aby o niej zapomniał.

Słowa te roztopionym ołowiem padały na serce Janka, słuchał blady z żałośnie wykrzywionymi ustami, chciał zawołać: „Mamo, mamo, ja tak tęskniłem do ciebie, tak chciałem ciebie zobaczyć“, ale szepnął tylko: „Żegnam panią“ i wyszedł.

Powrócił do hotelu, rzucił się na łóżko i zapłakał, jak małe skrzywdzone dziecko — stała się okropna, straszna krzywda, tak marzył, tak rwał się, tak pragnął całym sercem ją ujrzeć i ukochać! O Boże, Boże, więc to taka jest jego matka! A ojciec, a Nadolski? Może jeszcze pójdzie do niego, może ojciec okaże się lepszy, może ucieszy się z powodu syna; chyba dorosły syn nie będzie go „kompromitował“!

Lecz słabą już teraz Janek miał nadzieję, po tym widzeniu się z matką, był tak smutny i zniechęcony, że nie wierzył, iż ojciec okaże mu jakieś cieplejsze uczucia. Odnalazł jednakże w biurze meldunkowym adres Nadolskiego. i poszedł.

Senatorska 6 — Stefan Nadolski. To tu. Teraz już Janek nie stał długo przed drzwiami, w radosnym i niespokojnym oczekiwaniu, zadzwonił odrazu. Otworzył mu drzwi mocno tęgi, łysy pan, średniego wzrostu i średniego wieku. Spojrzał na Janka w najwyższym zdumieniu. — Kim jesteś, mój młody panie!? wykrzyknął.

— Jestem Jan Ziegler, to nazwisko przybrane, po ojcu jestem Nadolski.

— Więc jesteś moim synem, chłopcze, jestem Stefan Nadolski, wiedziałem, że przyjedziesz. Witaj synu! — powiedział tęgi pan i uścisnął Janka

— Chodźmy tu, wprowadził go do skromnie, lecz ze smakiem urządzonego gabinetu. Usadowił Janka naprzeciw siebie i przyglądał mu się dłuższą chwilę małymi, zapłyniętymi tłuszczem oczyma. Janek nie spodziewał się po bolesnej wizycie u matki, takiego, bądź co bądź, czułego powitania ze strony ojca i był wzruszony. Szedł tu smutny i zrezygnowany, a tymczasem, co prawda p. Nadolski nie okazuje zbyt wielkiego entuzjazmu z powrotu „zapewne zapomnianego syna, jednakże nie patrzy na Janka tak odpychającym wzrokiem, jak matka!.

— Więc Staś zginął? przemówił wreszcie Nadolski.

Janek opowiedział o Stasiu, a potem spytał — Skąd wiedziałeś ojcze, że przyjdę? Dziwnie zabrzmiało w uszach jego słowo „ojcze“, zwróconę do tego obcego człowieka — o matce nieznanej i dalekiej myślał często, a o ojcu nigdy może dlatego, że Ziegler był dlań tak dobrym ojcem.

— Skąd wiedziałem, no, przecież, pisał do mnie już dawno Alfred Ziegler, odpowiedział na jego pytanie Nadolski, i znowu zapanowało kłopotliwe milczenie. Nieznani i obcy sobie, ojciec i syn nie wiedzieli o czym mówić.

I nagle padło pytanie: „Po co, właściwie przyjechałeś?“

Po raz drugi słyszy Janek dziś to pytanie. lecz teraz już odparł śmiało: „Przyjechałem po to, żeby poznać ciebie, ojcze, i matkę“.

Nadolski spojrzał na niego dziwnie. — I cóż matka?

W oczach Janka stanęły łzy, cichym głosem opowiedział przebieg swojej wizyty u matki. Nadolski słuchał uważnie, potem wstał, podszedł do syna, położył mu rękę na ramieniu i powiedział: „Żal mi cię, chłopcze, lecz bądź mężny i wysłuchaj spokojnie tego, co ci powiem; czy pomyślałeś o tym, jadąc do nas, jak stałeś się nam obcy?“ I Nadolski zaczął tłumaczyć mu, w bardzo oględnych, ale dostatecznie jasnych słowach, że Janek i jemu jest niepotrzebny, że i on ożenił się po raz drugi, że ma już inne dzieci, wprawdzie nie mówił tak jak matka, że dorosły syn „kompromitowałby go tylko“, ale powoływał się na młodą żonę, na ewentualne niesnaski jakie mogłyby powstać w ich rodzinie, jeżeli by Janek u nich zamieszkał; zresztą, Janek, jak pisał Ziegler ma być zabezpieczony, uczył się w Niemczech, więc lepiej niech tam wraca, przeżyte w oddali lata uczyniły ich obcymi ludźmi, łączy ich tylko krew, a to już przesąd, sentymentalne brednie, że krew zawsze się odezwie; Janek jest dorosłym mężczyzną, da sobie radę sam; no, zresztą, zostanie w Polsce, może ich odwiedzać, będą bardzo radzi, nie należy tylko obcym ludziom opowiadać tych wszystkich historii — o adoptacji, o Stasiu, Zieglerze i t. d.

Janek chciał tak jak u matki zawołać z głębi serca: „Ojcze, ojcze drogi!“, lecz i tu nie wybuchnął namiętną skargą, a tylko po wysłuchaniu tego wszystkiego, wstał i rzekł spokojnie — Ojcze, masz rację; przyjdę chętnie czasami, jeżeli pozwolisz — choć wiedział dobrze, że nie przyjdzie już tu nigdy, nigdy.

Do widzenia, do widzenia, mój drogi, więc przyjdź, będę bardzo rad, mówił Nadolski nieszczerze. Pożegnali się.

Tak skończyły się marzenia Janka!

„O głupcze, głupcze,“ mówił sobie, „O czymś marzył, przecież gdyby rodzice za tobą tęsknili dawno by napisali, abyś przyjechał, skoro wiedzieli gdzie jesteś, niezbyt logicznie toś sobie wykombinował“.

Kiedy Janek wrócił do hotelu, zaczął z gorączkowym pospiechem pakować rzeczy, prędzej, prędzej uciekać do Niemiec, tam ma chociaż przyjaciół! Do diabła to wszystko, był zły okropnie, porwała go dzika pasja, miał żal do wszystkich, do wszystkich, nawet do zmarłego, że wysłał go tu, do Polski, do tych rodziców, którzy o nim zapomnieli, nie kochali, którym był niepotrzebny; ojciec powinien był to przewidzieć i zaoszczędzić Jankowi bolesnego zawodu, dlaczegóż mu nie powiedział przynajmniej o tym, że Nadolscy nie mieszkają razem?!!!

I naraz, kiedy tak rozżalony, gniewny ciskał w nieporządku rzeczy do otwartej walizki, przyszło mu do głowy, że przecie i tu, w Polsce, może znaleźć przyjaciół wiernych i serdecznych, nie wszyscy są tak nieprzyjemni, okrutni, bezwzględni, jak Nadolscy; to że oni, jego rodzice, okazali się tak niedobrzy, nie znaczy, że wszyscy będą tacy, niezawodnie znajdzie dość dużo serc oddanych, ludzie nie są tak źli — może tu w Polsce śmiało pozostać, może tu pracować, uczyć się, tu jest jego Ojczyzna prawdziwa!

Oszołomiony tą myślą, oczarowany nadzieją, że już tu zostanie na zawsze, Janek śmiał się i płakał ze szczęścia.

stkie strony. Wtem wypadł z niego duży diament i potoczył się po stole.

— Skąd się ten diament tu wziął? — zawołał Waker zdziwiony i wziąwszy kamień w rękę, zaczął go z podziwem oglądać. — Skąd takie kosztowności w tym biednym domu?

— Nie umiem panu odpowiedzieć na to pytanie — rzekła Sylwia.

— Kamień ten wypadł z tego paska — informował ją Waker i zaczął wyjmować z paska resztę schowanych tam skarbów.

— Na Boga! — zawołał znów — Mayer nawet nie przeczuwa, że jest Krezusem. Te kamienie przedstawiają bowiem wartość miliona dolarów.

Sylwia opowiedziała Wakerowi, że zdjęła ten pasek z ciała zmarłej i we dwoje zaczęli się nad tym zastanawiać, skąd Zuzia mogła przyjść do posiadania tych skarbów. Ale nie mogli rozwiązać zagadki.

Gdy Mayer późno wieczorem wszedł do izby, oddała mu Sylwia znaleziony skarb. Ale on popatrzył nań obojętnie i opowiedział, w jaki sposób przyszedł w posiadanie tych kamieni.

Sylwia sporządziła skromną kolację, której prawie nikt nie tknął, a potem poszedł Mayer z Wakerem na noc do stajni.

Sylwia została w izbie, ale przez całą noc oka zmrużyć nie mogła z irytacji.

Nazajutrz rano zjawili się emigranci dla oglądnięcia fermy, i wydzierżawili ją bez namysłu wobec tego, że im się interes wydawał dobrym, i że Mayer stawiał bardzo umiarkowane warunki. Nawet zadatku od nich nie żądał.

Żona nowego dzierżawcy została już na miejscu, a mąż poszedł do miasta po dzieci.

Mayer spakował się prędko, pożegnał się jeszcze raz z grobem żony, który został ustrojony w wieńce z dębowych liści, i oznajmił Sylwii, że jest gotów do odjazdu.

Sylwia przyjęła tę wiadomość z wdzięcznością, gdyż ziemia paliła się pod jej nogami z niecierpliwości i obawy.

Miała szczęście, gdyż tego samego dnia jeszcze odbijał parowiec z Friedrichskron do New-Yorku.

Tu rozstała się z Wakerem, któremu podziękowała serdecznie za oddane jej usługi i następnym parowcem wyjechała z Mayerem do Europy, nie mogąc się doczekać chwili uwolnienia Wernera.

Waker byłby najchętniej wraz ze Sylwią do Europy wyjechał, ale obawiał się, że jej to będzie nieprzyjemne. Kochał on Sylwię prawdziwie, i niepocieszony był po jej odjeździe.

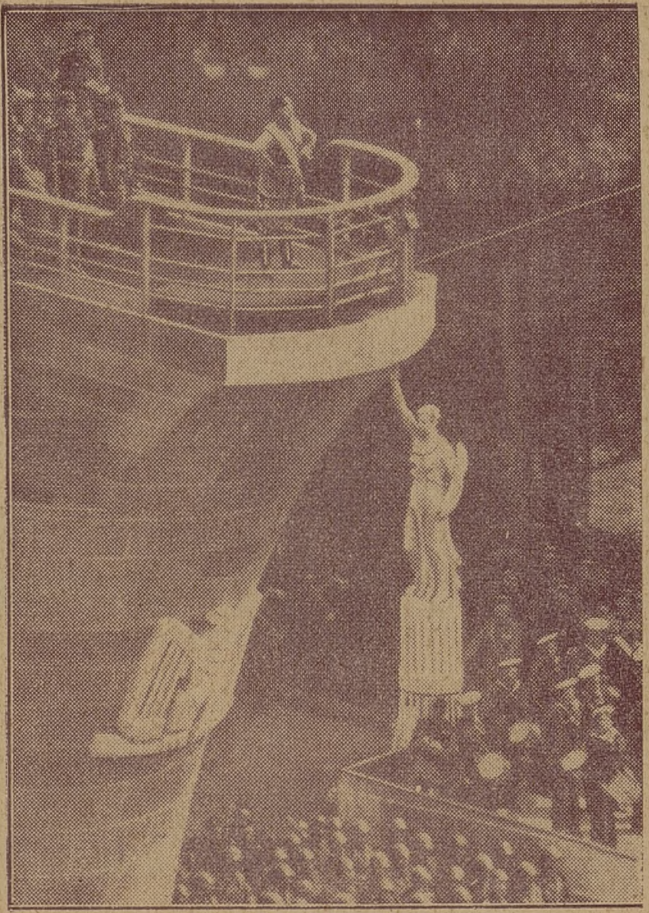
Czysta, bezinteresowna ta miłość, wpłynęła na niego uszlachetniająco. Zaszła w nim stanowcza zmiana na dobre. Pogardzał dawnym swym życiem, i postanowił poprawę.

Pewnego dnia siedząc w restauracji, zobaczył na stole starą zmiętą gazetę angielską, którą ktoś z jakiegoś pakunku tu musiał zostawić.

Mechanicznie wziął ją do ręki i zaczął czytać.

Ponura twarz jego wypogodziła się, gdy między wiadomościami prywatnymi wyczytał o ślubie Miss Inez Snob z panem Robertem Snobem, i Miss Fides Snob z panem Filipem Snobem.

— Bogu dzięki! — westchnął z ulgą, jakgdyby mu centnar spadł z serca.



Podczas pobytu w Genui Mussolini wygłosił wielką mowę na temat polityki zagranicznej wobec 350 tys. ludzi.

Los rodziny Snob ciążył mu bowiem na sumieniu i byłby im chętnie posłał część swego majątku, gdyby nie obawa, że przez to zdradzi miejsce swego pobytu.

Zagłębił się na nowo w gazecie, która mu tak radosną wiadomość przyniosła, i oko jego padło znów na artykuł, który zwrócił jego uwagę. Treść jego była następująca:

„Dziś rano znaleziono w jednym z podejrzanych lokali trupa zamordowanej notorycznej osoby, znanej dawniej pod imieniem „pięknej Betki". Była ona żoną znanego zbrodniarza, który pod przybranym nazwiskiem Wilfreda Wakera, wcisnął się w lepsze towarzystwo i zyskawszy serca kilku uczciwych panien z dobrego domu, potrafił skłonić je do małżeństwa, pozornego naturalnie. Pisaliśmy swego czasu dokładnie o procesie przeciwko temu oszustowi i jego wspólnikowi Tulliwerowi itd."

Gazeta wypadła mu z rąk.

Był więc uwolniony z nienawistnych mu węzłów. Ta okropna kobieta, która go na drogę zbrodni popchnęła, już nie żyła!

Chciał się teraz okazać godnym tej wolności, chciał zacząć nowe życie, uczciwe życie wypełnione poważną i rzetelną pracą. Podniósłszy dwa palce ku niebu, przysięgał solennie, że nigdy w życiu nie tknie obcej własności.

Dotrzymał też tej przysięgi. Mimo, że miał pieniądze, wybrał sobie zawód, który mu mógł wypełnić życie.

Nauczył się fotografowania i ma teraz w jednym z największych miast Ameryki północnej, piękne atelier, które mu dużo dochodów przynosi. Ma też piękną żonę, którą szczerze kocha i synka, który jest jego nadzieją i dumą.

Ale mimo to nie zapomniał o Sylwii, której wpływ zrobił go porządnym człowiekiem. Wspomnienie jej na zawsze będzie żyło w jego sercu!

Współobywatele pana Wakera, nie przeczuwając w nim zbiegłego więźnia, poruczyli mu honorowy urząd sędziego pokoju.

Było to wyszczególnienie, z którego piękna pani Waker, bardzo była dumną.

Tak więc Wilfred Waker dał dowód, że skrucha i pokuta i nigdy za późno nie przychodzą.

ROZDZIAŁ CCCXVI.

Nie mając pojęcia, co się tymczasem odegrało w domu państwa Haiów, z których służby szczęśliwie się wydostała, dojechała Hania do hotelu, w którym mieszkał markiz i jego panie.

Przed hotelem stał Jan i rozmawiał z portierem. Gdy zobaczył zatrzymującą się przed hotelem dorożkę, przyskoczył do niej, otworzył drzwiczki powozu i pomógł Hani przy wysiadaniu.

— Co za ładna dziewczyna — pomyślał w duchu.

I Hania, obrzuciwszy Jana badawczym spojrzeniem, pomyślała, że to wcale chwatki chłopak.

— Czy mógłby mi pan wskazać pokój panny Steinert? — zapytała. — Jestem bowiem nową jej pokojówką.

— Bardzo mnie to cieszy — zawołał Jan szczerze — bo ja jestem kamerdynerem pana markiza. Spodziewam się, że będziemy po koleżeńsku ze sobą żyli, kochana panienko. Państwa jeszcze nie ma; możemy się więc tymczasem zapoznać.

Zdjął jej pakunki z dorożki i wniósł do hotelu, a potem zapytał:

— Czy chciałaby panienka zaczekać w moim pokoju, aż do przybycia państwa?

Hania zgodziła się na propozycję i w kilka minut później siedzieli oboje, w małej jego izdebce, i swobodnie gawędzili.

Rycerski Jan postarał się o przekąskę dla pięknej swej towarzyszki, którą wdzięcznie przyjęła, i w ciągu rozmowy opowiedział jej cały swój żywot.



Słynny tenor włoski, Lauri Volpi, w swym tournée po Europie, zawitał do Berlina.

— Mój biedny panie — rzekła wreszcie z współczuciem — ile pan w swoim życiu już przecierpiał! Cieszę się, że pan przynajmniej teraz ma tak dobrą służbę.

— Jak to serdecznie ze strony panienki — zawołał Jan wzruszony i pocałował ją w rękę — a teraz niech pani swoje losy opowie. Nikt pewnie nie miał serca z taką piękną dziewczyną źle się obejść.

— Niech się pan zapyta pani Hai — odparła dziewczyna ze smutnym śmiechem.

— Co? U tej czarownicy panienka służyła? — przeraził się Jan.

— Niestety — odparła Hania — mogłabym całą powieść o tym napisać. Nie było tam śmiechu i żartów; trzeba było od rana do nocy ciężko pracować i znosić głód i niezasłużone łajania.

Zaczęła opowiadać szczegóły swego męczeństwa, a Jan przysłuchiwał się z zajęciem.

— A cóż narzeczony panienki na to mówił? — zapytał wreszcie. — Czy mógł on spokojnie na to patrzeć?

— Jakże miałabym mieć narzeczonego — odparła Hania — kiedy mi na chwilę nie było wolno wyjść za bramę, a jak szłam po coś do miasta, to musiałam galopem biegnąć z obawy, aby nie dostać bury za spóźnienie.

— Czy chciałaby pani mieć mnie za narzeczonego? — spytał Jan ucieszony.

— Żartuje pan chyba — zawołała Hania.

— Nie, myślę to zupełnie na serio — zapewnił ją Jan.

— Kiedy ja jestem biedną sierotą i nie mam ani ojca, ani matki — rzekła dziewczyna.

— Ty, albo żadna — zawołał Jan i objąwszy dziewczynę, ucałował ją szczerze — mój skarbie jedyny, za miesiąc będzie nasze wesele i kupimy sobie mały folwark i...

— A za co kupimy? — spytała Hania. — Ja jestem biedna i ani centa nie mam.

— Ale ja mam — odparł Jan wesoło — dostanę od pana markiza 10.000 zł, a za to można już ładną posiadłość dostać! Będziemy sobie żyli jak dwa gołąbeczki. Pocałuj mnie, kochana moja i powiedz, że mnie kochasz!

Hania nie dała się długo prosić i rzekła potem:

— Takam szczęśliwa, że będziemy znów na wsi. Ja nigdy miasta nie lubiłam. Gdym miała lat 12, sprowadzili się moi rodzice do Wiednia, i w rok później umarli. Dostałam się do domu sierot, a stamtąd na służbę do Haiów, i nie zaznałam w świecie tym, ani jednej dobrej godziny. Jak to dobrze, że będę znów mogła oddychać świeżym powietrzem i cieszyć się zielenią!

Zaczęli układać szczęśliwe plany przyszłości i tak byli sobą zajęci, że nie słyszeli powrotu swych państwa, i kilkakrotnego ich dzwonienia.

Wreszcie przyszedł markiz sam do pokoju Jana, aby się przekonać co się stało. Gdy otworzył drzwi, wyrwała się zawstydzona Hania z objęć swego narzeczonego.

— Pan markiz pozwoli, że przedstawię swoją narzeczoną — rzekł Jan, chwytając rumieniącą się dziewczynę za rękę.

— Czy to ta Hania, co służyła u Haiów? — zapytał markiz

— Tak jest, panie markizie — rzekł Jan kłaniając się nisko.

— Winszuję — rzekł markiz i zapraszam się na ojca chrzestnego u pierwszego dziecka.

To rzekłszy, kazał im przyjść do salonu, gdzie była Ida z panią Herbert.

Obie panie zdziwiły się niemało tą szybką decyzją po tak krótkiej znajomości, ale pogratulowały narzeczonym serdecznie, a Ida obiecała Hani sprawić wyprawę, aby nie weszła z próżnymi rękoma w dom swego męża.

Markiz kazał przynieść szampana, aby wypić na zdrowie narzeczonych i mimo wymawiania się, musiał Jan z Hanią usiąść w salonie i uderzyć w kieliszy ze swym państwem.

Szampan poskutkował i rozwiązał wszystkim języki, a szczególnie Hania rozgadała się jak gdyby była między swymi równymi.

Wtem zameldowano starą szwaczkę, Jetkę.

Ida zaprosiła ją pisemnie i wyszła teraz naprzeciw niej i tak serdecznie się z nią przywitała, że aż łzy stanęły w oczach Jetki. Markiz również uścisnął jej serdecznie rękę i zapewnił ją o swej wdzięczności, za pomoc daną Idzie w czasie ucieczki jej od Haiów.

Słysząc, że się Hania zaręczyła, zawołała Jetka ucieszona:

— Przysięgłam sobie wprawdzie, już nigdy igły do rąk nie wziąć, bom się już dość w swoim życiu namęczyła, ale teraz cofam swoje słowo. Obiecuję uszyć Hani całą wyprawę, proszę mi tylko materiału dostarczyć!

Ledwo Hania zdążyła podziękować — zapukano do drzwi.

— Proszę wejść — odpowiedział markiz.

Służący zameldował adwokata Eisenharta, którego markiz natychmiast kazał wprowadzić.

Jan wyniósł się natychmiast z Hanią, gdyż zrozumiał, że dla nich teraz tu nie ma miejsca.

Eisenhart wszedł bardzo blady i poważny.

— Moi państwo — zaczął on solennym tonem — przykro mi, że muszę wesołość waszą przerwać smutną nowiną. Teobald Hai nie żyje!

— Nie żyje? — zawołała Ida — czy to możliwe? On przecież na tak chorego nie wyglądał!

— Nie umarł też naturalną śmiercią — odparł Eisenhart i opowiedział dokładnie, co z nim zaszło.

Ida słuchała przerażona.

— Będzie to okropny cios dla pani Hai — rzekła ona — bo jakiekolwiek były jej wady, ale Teobalda kochała nad życie! Co się teraz z tą nieszczęśliwą kobietą stanie? Czy ja jej w czym mogę pomóc.

— Przeciwko niej żadnej skargi nie wniesiono — odparł Eisenhart — a pieniędzy musi ona także mieć poddostatkiem. Lamentowała może przez godzinę przy zwłokach syna, potem znikła nagle.

— Może sobie coś złego zrobiła? — przeraziła się Ida.

Eisenhart zaprzeczył, pokręciwszy głową.

— Wątpię — rzekł energicznie — znając panią Hai, prędzej można przypuszczać, że znikła, aby przygotować zemstę.

— Zemstę? Na kogo? — zapytała Ida blednąc.

— Na panią — zawołał Eisenhart pewnym głosem — ostrzegam panią przed tą niebezpieczną kobietą, bo ona w pani widzi przyczynę swego nieszczęścia i pewnie pani zgubę poprzysięgła. Panie markizie, ochroń pan swoją narzeczoną przed tą szatańską babą.

Markiz objął narzeczoną swą czule i zawołał:

— Ona jest pod moją opieką i niech się nikt nie odważy przeciwko niej wrogo wystąpić!

— Wątpię, czy pani Hai może mieć tak brzydkie plany — niedowierzała Ida.

— A ja panią raz jeszcze ostrzegam przed tą podstępną kobietą — rzekł Eisenhart poważnie — jest to dla mnie pewnym uspokojeniem, że przynajmniej stary Hai jest uwięziony i że pani więcej szkodliwym być nie może.

Opowiedział dokładnie wszystko, co się w domu Haiów odegrało i zakończył tymi słowy:

— Będzie nam łatwo dowieść Haiowi jego oszustw wobec panny Steinert.

— Czy nie ma on przy sobie jakich samobójczych środków? — zapytał markiz.

— Zrewidowano go dokładnie przed uwięzieniem — odpowiedział Eisenhart —

i nie znaleziono przy nim ani rewolweru ani też trucizny. Dla ostrożności odebrano mu nawet ostry scyzoryk, który miał przy sobie.

— A czy go należycie strzegą? — spytał de Lorme.

— Strzegą go dniem i nocą — odparł Eisenhart, aby się nie powiesił na swoich szelkach. Nie ma więc obawy samobójstwa.

— Jest to dla mnie prawdziwym uspokojeniem — zapewniał markiz. — Panie mecenasie, byłbym panu bardzo zobowiązany, gdyby pan przyspieszył proces przeciwko Haiowi, o ile się tylko da.

Eisenhart obiecał zrobić, co będzie w jego mocy, i odszedł, gdyż już było bardzo późno.

I Jetka pożegnała się, obiecawszy Idzie, że będzie częściej przychodzić.

— Sądzę, że już czas iść spać — zaproponowała pani Herbert.

Niezwykła ta kobieta nie zdradzała ani słowem, ani spojrzeniem trosk i niepokojów swego serca ,gdyż nie chciała zasmucać nimi szczęśliwych narzeczonych.

Odwróciła się dyskretnie na bok, gdy markiz narzeczoną swą na dobranoc ściskał i całował.

Ida odwzajemniła pieszczoty jego serdecznie, poczem wyrwała się z jego objęć i weszła do sypialni pani Herbert.

Ku zdziwieniu swemu zastała tam Hanię i Terenię.

— Ty tutaj, Tereniu? — zawołała ona, nie wiedząc co to ma znaczyć.

— Niech mi wielmożna panienka wybaczy, żem tu przyszła — rzekła dziewczyna, całując Idę w rękę — ale ja bałam się sama w domu zostać. Pana uwięziono, a pani z paniczem gdzieś wyjechała, nawet nie wiem dokąd. Niedawno wróciła sama, i wyglądała tak okropnie, że ja aż krzyknęłam ze strachu. Była blada jak kreda, a oczy jej świeciły się jak żarzące węgle. Zdawała się nie widzieć mnie wcale i weszła do laboratorium; niebawem wyszła stamtąd i znów dom opuściła. Bałam się zostać na miejscu Hani, która za mąż wyszkaniu, bo pomocnicy aptekarscy tak daleko śpią od mej izdebki, że mógłby mnie ktoś zabić, a oni nawet by nie słyszeli. Przyszłam więc tu prosić o nocleg.

— Bardzo chętnie cię przyjmujemy — rzekła Ida dobrodusznie — możesz u mnie zostać na miejscu Hani, która za mąż wychodzi i teraz będzie musiała wyprawę przygotować. Jak się dla ciebie jaki porządny narzeczony znajdzie, to i ty dostaniesz ode mnie wyprawę i mały posażek, bo ja nie zapomniałam jeszcze o twej uczynności, jak ja byłam w biedzie!

Terenia podziękowała uszczęśliwiona i wszyscy rozeszli się na noc.

Wszystkie trzy młode dziewczęta usnęły wkrótce, śniąc o szczęściu i miłości.

Ale pani Herbert długo jeszcze zasnąć nie mogła, myśląc o mężu swym i Sylwii. Potem myśli jej przeszły do pani Hai. Po co ona wróciła do domu i co robiła w laboratorium? Czy może naprawdę knuje czarną zemstę?

Będę teraz Idy strzegła z podwójną czujnością — mruknęła pani Herbert — może mi się uda ją uchronić!

ROZDZIAŁ CCCXVII.

Nagroda wierności

Do izdebki starego Luigiego wkradały się przez okno jasne promienie słoneczne, ale biedak leżał chory i wynędzniały, gdyż przebył ciężkie zapalenie płuc.

Hortensja nie odstępowała od jego łoża i pielęgnowała go jak córka; była to sposobność odpłacenia mu się za jego wierność, a młoda kobieta czyniła to chętnie!

Ponosiła wszelkie pieniężne ofiary i była niestrudzona w krzątaniu się około niego, aby go otoczyć wygodą i do zdrowia przyprowadzić.

Dzięki jej staraniom Luigi znajdował się w rekonwalescencji.

Stary sługa zawsze kochał swoją panią, ale odtąd uwielbiał ją jak świętą, a wdzięczność i uległość jego były bezgraniczne.

I teraz siedziała Hortensja u jego łoża i czytała mu coś na głos ,ale wyglądała tak blado, a oczy jej tak były podkrążone sińcami, że Luigi robił sobie ciężkie wyrzuty, że to z jego powodu. Postanowił sobie święcie uważać odtąd, aby się młoda kobieta więcej szanowała i zanadto nie natężała.

— Signoro — rzekł, przerywając jej — dziękuję bardzo za dobroć, ale niech signora przestanie czytać.

— Czyś zmęczony, Luigi? — zapytała zaniepokojona Hortensja.

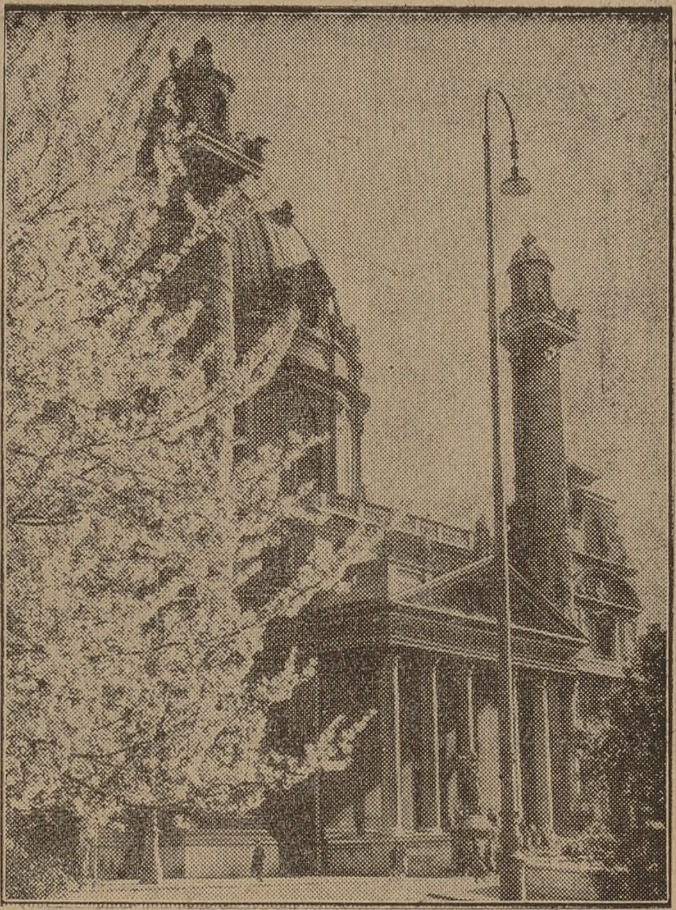
— Tak, signoro — odparł stary sługa — chciałbym trochę zasnąć, a signora powinna się położyć i wypocząć.

— Śpij smacznie — rzekła młoda kobieta uprzejmie

— Tylko jedną mam prośbę, aby się signora położyła i wypoczęła! — zawołał stary poczciwiec.

— Dobrze, dobrze — odparła Hortensja — a teraz zaśnij ,bo ci sen potrzebny!

Uśmiechnąwszy się do niego wyszła z jego izdebki i udała się do swego mieszkania. Zmęczona padła na krzesło obok okna i zamyśliła się głęboko. Do wszystkich innych trosk, przystąpiły jeszcze materialne, gdyż podczas słabości Luigiego odmówiła wszystkich swych uczniów, aby go mogła pielęgnować.



Wiedeń w szacie wiosennej.

Dochody jej się więc zmniejszyły, a wydatki bardzo się powiększyły.

Wszystkie środki się wyczerpały i daremnie suszyła sobie głowę, w jaki sposób mogłaby coś oszczędzić. Lecz czynsz musiał być zapłacony, a głód zaspokojony.

Nie pozostawało jej nic innego, jak sprzedać coś ze sprzętów.

Zaczęła przemyśliwać nad tym, od czego by zacząć. Bez fortepianu nie mogła się obejść, malowidła były pamiątką po jej ojcu, zegarek zaś i biżuteria były darem Leona.

Rzeczy te były dla niej tak drogie, tak się do nich przywiązała ,że nie mogła pogodzić się nawet z myślą rozstania się z nimi.

Pomyślała o drogim ojcu, o ukochanym mężu i łzy potoczyły się po jej policzkach.

Przypomniała sobie wszystko ,co w młodym swym życiu przecierpiała.

Inne osoby w jej wieku były jeszcze pod opieką rodziców, a ona była zupełnie opuszczona i do dna wychyliła już kielich goryczy. Czyż szczęście jej nigdy już nie miało się uśmiechnąć? Czyż było to jej przeznaczeniem cierpieć i wegetować, męczyć się tylko, podczas kiedy inni używali życia?

Wzięła małą fotografię Leona do rąk i przypatrywała jej się ze smutkiem. Cała jej tęsknota odezwała się znów w jej sercu i łzy spłynęły po jej policzkach.

Okrywała fotografię pocałunkami i szepnęła zdławionym głosem:

— O, najdroższy mój, dlaczego mnie opuściłeś?

Tak zagłębiona była w swym smutnym dumaniu, że nie słyszała nawet szmeru lekko otwierających się drzwi.

Nagle krzyknęła radośnie ,gdyż u nóg jej klęczał Leon i szeptał:



Niedługo już będziemy tego rodzaju widoki oglądali!

— Moja najukochańsza ,jedyna, czy możesz mi wybaczyć?

Bez słowa rzuciła się Hortensja w jego objęcia, a pocałunki jej były na razie jedyną odpowiedzią.

W rajskim uniesieniu przyciskał Leon żonę swą do serca. Teraz dopiero byli złączeni na wieki!

Gdy się Leon dowiedział, ile Hortensja w tym czasie wycierpiała, oskarżał się, że to z jego winy i że nie powinien jej był tak zostawić.

Lecz Hortensja pocieszała go, mówiąc, że teraz już wszystko dobrze będzie i że ona z łatwością w obecnym szczęściu o przebytych cierpieniach zapomni.

W upojeniu swym zapomniała ona na razie o swoim pacjencie.

Wreszcie uwolniła się z objęć Leona i rzekła zawstydzona:

— Jakaż ze mnie egoistka, całkiem o Luigim zapomniałam!

Krótkimi słowy opowiedziała mężowi swemu o wierności i szlachetności Luigiego i oboje poszli do izdebki chorego, lecz Hortensja weszła pierwsza, dając Leonowi znak, aby się chwilę przed drzwiami zatrzymał.

Zastała chorego uśmiechniętego i zadowolonego.

— Wybacz drogi Luigi — rzekła Hortensja — że prędzej do ciebie nie zajrzałam, ale spotkało mnie tak ogromne szczęście, że ja o wszystkim zapominałam.

— Co się stało? — spytał stary zdziwiony. — Czy odzyskała signora może swój majątek?

— Nie, coś dużo lepszego — zaszlochała młoda kobieta, nie mogąc się dłużej opanować — mój mąż powrócił!

Szczęście, że Hortensja nie widziała w tej chwili rysów Luigiego, gdyż twarz starego sposępniała bardzo na tę wiadomość.

— O Luigi — zawołała Hortensja dumnie — on opuścił mnie dlatego, że nie chciał być na moim utrzymaniu i aby sobie ugruntować egzystencję. Wrócił on teraz jako bogaty człowiek i bieda nasza się skończyła!

W tej chwili wszedł Leon, nie mogąc dłużej swej niecierpliwości pohamować.

— Tak — powtórzył za Hortensją — bieda się skończyła. Będziemy teraz szczęśliwi. I wy Luigi — zwrócił się on do starego — musicie brać udział w naszym szczęściu. Byliście żonie mojej opieką i podporą w jej osamotnieniu i ja wam tego nigdy nie zapomnę. Będziecie odtąd żyć przy nas, nie jako służący, lecz jako przyjaciel naszego domu!

Wziął Luigiego za rękę, a wierny sługa uścisnął ją ze łzami w oczach.

— O, Leonie, Leonie, jaka ja szczęśliwa — wołała Hortensja, ściskając swego męża.

Ze łzami w oczach, przypatrywał się stary sługa szczęściu, obu małżonków. Potem złożył ręce pobożnie i szepnął:

— Wszechmocny Boże, wynagrodziłeś ich wierność, a teraz weź ich w dalszą Swą opiekę i daj mi trwałe szczęście!

Odtąd rzeczywiście wszystkie troski ustały.

Na nowo złączeni małżonkowie żyli jak w raju. Wszystkie nieporozumienia znikły, a szczęście ich było kompletne, niezaćmione żadną chmurką.

Leon nie wrócił więcej do Ameryki.

Przyjaciel jego Bill objął uregulowanie jego interesów za Oceanem. Przybył on z Francis do Wiednia w kilka dni po przyjeździe Leona ,ale ukochana jego dziewczyna dziwnie była nieśmiała i przygnębiona, gdy zobaczyła Leona złączonego z Hortensją.

Dopiero, gdy Hortensja objęła ją serdecznie i rzekła: „bądźmy siostrami", odwzajemniła Francis jej zbliżenie się i szepnęła: „bądź ty moim dobrym aniołem!"

Powstała między nimi serdeczna przyjaźń, a Francis starała się naśladować we wszystkim i wstępować w ślady anielskiej Hortensji. Złagodniała, stała się więcej kobiecą i rozwinęła tyle nowych, dobrych przymiotów, że Bill z każdym dniem bardziej się w niej kochał.

Leon był o tyle taktownym, aby wobec Francis zachowywać zupełną swobodę, a ona była mu za to bardzo wdzięczna i starała się również o wszystkim zapomnieć.

Po załatwieniu wszystkich formalności, odbył się ślub Billa i Francis, którego świadkiem był tylko Leon z Hortensją i Luigi, który już zupełnie do zdrowia przyszedł.

Francis była nadzwyczaj poważna i ślubowała sobie w duchu odwdzięczyć się mężowi swemu, za jego miłość i wierność. Miała ona też dość silny charakter aby przysięgi swej dotrzymać.

Niezwłocznie po weselu, wrócili państwo Freddersowie do Ameryki.

W New-Limmerick dziwiono się niemało, gdy Bill wrócił ze żoną i do tego tak podobną do zbiegłego chłopaka. Krążyły różne pogłoski, ale z czasem ustały wszystkie te plotki.

Bill został jeszcze tak długo w Ameryce, dopóki źródeł naftowych zupełnie nie wyksploatował; do tego czasu, był on i Leon już milionerem.

Potem wyprowadzili się Freddersowie do Europy, aby żyć w pobliżu przyjaciół swych Waldau'ów.

W Schönbrun, około Wiednia, wznoszą się wśród cudownych ogrodów dwie wspaniałe wille. Są one własnością Leona Waldaua i Billa Freddersa.

Tam mieszkają oni ze swymi pięknymi żonami i dziećmi i zażywają nadzwyczaj dobrej sławy, nietylko z powodu swego bogactwa, ale za uczciwość, charakter piękny, za dobroczynność i hojność dla biednych i nieszczęśliwych, którzy ich błogosławią i do Boga za nich się modlą.

Leon Waldau, ubóstwia swą żonę, i swe dzieci, a i Hortensja czuje się zupełnie szczęśliwą w rozkosznym swym domostwie.

Są oni tak bogaci, że sobie na wszelki zbytek pozwolić mogą, ale używają tych darów losu umiarkowanie, nie zapominają o biednych.

Piękna ich willa w Schönbrunie ozdobiona była dziełami sztuki w najlepszym guście, ale za największą ozdobę i skarb największy uważa Leon swą wierną, kochającą żonę i codziennie dziękuje za nią Bogu.

Wierny Luigi ma obok nich szczęśliwą starość i bawi się z ich dziećmi, jak ich najlepszy towarzysz, a one bez dobrego starowiny, nic nie poczynają.

Billowi służy życie w Europie tak, że nie tęskni wcale za preriami swej ojczyzny. Żyje szczęśliwie z Francis, która jest wzorową żoną i matką, a największą jego dumą, jest mała jego rodzina, która prawie co roku się powiększa.

Największą zaś jego radością, jest sadzanie małych swych chłopców na konia, nim jeszcze porządnie chodzić umieją. Obiecuje on sobie wykształcić ich we wszystkich rycerskich sztukach, gdy dorosną i wychować ich na dzielnych i pracowitych ludzi.

Gdy Bill ze swoją żoną przejeżdżają konno ulicami Wiednia, oglądają się przechodnie za nimi z uśmiechem i mówią: „Amerykanie"!

Ale uśmiech ich jest życzliwy, gdyż Bill zyskał sobie ogromną popularność i sympatię, nie tylko dla swej dobroczynności, ale i dla swego szczerego, otwartego usposobienia.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

MARIA REUTT

7)

Anna

— U mnie nie spotkasz żadnych bidulek i opituszek... obiecała mu, żegnając się z nim u furtki willi starostów.

* * *

Leon nie miał zbytniej ochoty jechać do Morowina na urodziny bliźniaczek, nie chciał im jednak zrobić zawodu, odpłacić niegrzecznością ich serdeczność.

Zabawne smarkule — myślał, ubierając się starannie. Przejrzał się w lustrze i uśmiechnął zwycięsko, gdyż odbiło ono przystojną, rasową twarz Leona, prawie że przedwojennego.

Dziewczęta przywitały go okrzykami głośnej, trochę zbyt hałaśliwej radości, uczepione u jego ramion prowadziły go triumfalnie do salonu pełnego młodzieży.

Wanda była między nimi i wyglądała jak królewna śnieżka w swej białej wieczorowej sukni.

Po kolacji dziewczęta zmęczone tańcem zaproponowały grę w chowanego. Młodzież przyklasnęła z radością. — To będzie przyjemnie chować się w parku!

Stary cienisty park posiadał odwieczne rozłożyste lipy i dęby, szpalery z bzu, jaśminu, akacji, zacienione altanki i ustronne kąciki, no i noc była ciemna, bezksiężycowa.

Wanda odmówiła wzięcia udziału w zabawie. Poczuła się nagle starą, nudną, zgryźliwą. Drażnił ją flirt Leona z tymi „Marlewiczównami", szczególniej z ciemnowłosą Grażyną.

— Co on widzi w niej, w tej głupiej gąsce — myślała niechętnie. — Będzie bogata i otrzyma kosztowną wyprawę — przypomniała sobie — a on przecież tylko goni za pieniędzmi według twierdzenia Anny. Gdybym ja miała tylko odpowiedni posag, ożeniłby się ze mną natychmiast, bo dla niego i jego matki pieniądze były wszystkim — zadźwięczały jej w uszach pełne goryczy i urazy słowa Anny.

Chociaż odmówiła udziału w grze zeszła jednak z towarzystwem do parku, by przyglądać się zabawie.

Została wkrótce sama, bo młodzież rozbiegła się po parku i chodziła wolno po alejach. Cały park rozbrzmiewał śmiechem, gwarem, nawoływaniem, lekkimi krokami przebiegających to tu, to tam osób.

Nagle z zakrętu wyskoczył Leon i biegł ku niej z zawiązanymi oczami i rozpostartymi ramionami.

Nim się spostrzegła była już w jego ramionach i gorące męskie wargi przywarły do jej ust. Odepchnęła go, ale uścisk jego rąk nie rozluźnił się, a naodwrót zacieśnił.

Pociągnął ją w aleję, na którą padały smugi światła. Tutaj zerwał chustkę z oczu i śmiech zamarł mu na ustach, a ramię opadło z jej kibici.

— Ach to pani... przepraszam... myślałem, że to panna Grażyna lub Stanisława.

Zawód brzmiał w jego głosie. Ukłonił jej się sztywno i znikł w cieniu krzaków.

Zagryzła drżące wargi i pełna oburzenia zawróciła na werandę.



W Paryżu otwarto wystawę dawnych instrumentów muzycznych, z których trzy widzimy na zdjęciu.

— Taki jak wszyscy oni, gotowy do całowania każdej napotkanej młodej dziewczyny, ale żenić się tylko dla posagu.

Nienawidziła go w tej chwili jak gada, jak żmiję zjadliwą. Ale czy naprawdę nienawidziła go, czy jego pocałunek i uścisk jego rąk rzeczywiście wstręt w niej wywołały?

Na werandzie nie było nikogo. Panowie grali w bridża w gabinecie, starsze panie rozmawiały w saloniku. Usiadła na dolnym stopniu werandy i przysłuchiwała się odgłosom płynącym z parku. Każdy głośniejszy okrzyk, każdy wybuch śmiechu wywoływał w niej odruch zazdrości.

— Ile dziewcząt on już pocałował — myślała z goryczą.

Nareszcie zabawa została ukończona i całe towarzystwo zziajane, rozbawione, zmęczone przyszło na werandę.

Leon szedł z Bożeną i dokuczał jej wymawiając niezgrabność, bo ani razu nie złapała go.

Młody Pawelski usiadł obok Wandy, robiąc jej wyrzuty, że nie dołączyła się do zabawy.

— Tak było wesoło. Odmłodziło nas. Poczułem się znów sztubakiem — wywnętrzał się.

— Zauważyłam to — powiedziała z ironią.

Roześmiał się dobrodusznie. — Zachowywaliśmy się jak rozbrykane dzieci.

Podobała mu się Wanda. Lubił ją i z chęcią stanąłby w szeregu starających się o nią, ale zbyt był biedny w porównaniu z nią no i powierzchowność jego nie mogłaby pomóc mu do zdobycia ładnej, dumnej, bogatej panny. Wolał więc nie narażać się na śmieszność.

Wanda czuła się zmęczoną i koło północy zaczęła się żegnać. Gospodarze próbowali zatrzymać ją. Nie uległa namowom. Musi jechać.

Wszyscy wyszli ją żegnać. Nie zauważyła tylko Leona.

Gdy wsiadła do auta i szofer nacisnął starter Leon otworzył drzwiczki i usiadł obok niej.

Oburzyła się. — Jak on śmiał. Co sobie pomyślą w Morowinie? Gdy wyjechali za bramę zwróciła do niego płonący oburzeniem wzrok.

— Dlaczego pan jedzie ze mną?! Nie życzę sobie plotek z powodu pana...

Odpowiedział spokojnie i stanowczo:

— Jadę z panią nie dla swej przyjemności, ale dla bezpieczeństwa pani osoby. Przed samym odjazdem do Morowina otrzymałem ostrzeżenie z policji, że jakaś luźna banda dywersyjna przeszła granicę i skryła się w naszych lasach w okolicy Wolicy. Zarządziłem leśne i majątkowe pogotowie, a oprócz tego policja obstawiła las. To jest przyczyna, że ośmieliłem się narzucić swoją osobę jaśnie wielmożnej pannie Wandzie Znamierowskiej i usiadłem obok niej w samochodzie.

— Pani strach przed kompromitacją ze swoim administratorem, wybaczy pani, jest śmieszny. Wszyscy tu wiedzą, że tak jeszcze do niedawna byłem sam właścicielem dużego majątku i że pochodzę z tej samej sfery, co pani.

Auto wjechało w las. Droga wydłużyła się w szeroką prostą aleję, ledwo widoczną w ciemności nocy. Reflektory rzucały oślepiające światło, niczym dwie ruchome kule ogniste, samochód pędził z zawrotną szybkością.

Dalej droga zaczęła wić się zygzakami wśród stuletnich dębów i czerwonej olchy. Auto zwolniło tempa. Gdy mijali jeden z licznych niebezpiecznych zakrętów usłyszeli głośny, świdrujący gwizd tuż.

Wanda odruchowo przysunęła się do Leona, który odbezpieczył rewolwer.

— Boję się — wyszeptała.

Okolił ją ramieniem i odszepnął:

— Proszę się nie bać, jestem przy pani...

Samochód popędził jak szalony nie bacząc na zakręty. Gwizd rozległ się znów kilka razy to tu, to tam, ale już z dala.

Las się skończył. Samochód wydostał się na otwartą przestrzeń na drogę wiodącą do dworu. Niebezpieczeństwo minęło, byli blisko domu i obrony. Wanda delikatnie wyswobodziła się z objęć Leona i wsunęła się w kąt siedzenia.

Gdy mijali bramę pałacową Leon schował rewolwer do kieszeni i uśmiechnął się szelmowsko do Wandy.

— Wiedziałem dobrze, że to panią schwytałem tam w parku.....

— — — — — — — —

Leon zaczął bardzo często bywać w miasteczku. Czasami rano, to znów w południe, a wieczorami to już codziennie i stale starał się widywać z Anną, którą spotykał bardzo często na ulicy.

Małe miasteczka mają to do siebie, że ludzie z nudów i z braku urozmaicenia w życiu wychodzą na ulicę w poszukiwaniu znajomych.

— — — — — — — —

W parę tygodni po wizycie w Morowinie Leon wychodząc ze sklepu z żelazem natknął się na Annę, przechodzącą właśnie ulicą w towarzystwie przysadkowatej jasnej blondynki.

Twarz jej wydała mu się znajoma. Spotkał się już z nią gdzieś prawdopodobnie, ale nie umiał jej sobie umiejscowić w pamięci.

Ukłonił się. W odpowiedzi na ten ukłon przeznaczony dla Anny towarzyszka jej mrugnęła okiem i uśmiechnęła się kątem lewej strony ust.

Żydówka rosyjska, o którą posprzeczał się z Anną z czasów narzeczeństwa z nią, tylko że wówczas była brunetką o kruczych włosach.

— Na darmo tu nie przyjechała — pomyślał.

* * *

Gdy w dwa dni potem zaszedł do Anny i zastał ją samą, nie poruszył tematu spotkanej blondyny. Ona sama zahaczyła o to.

— Taką niespodziewaną miałam wizytę parę dni temu — zaczęła wahająco, niepewnym wzrokiem badając twarz Leona — przyjaciółka z lat szkolnych w przejeździe przez nasze miasteczko wstąpiła do mnie.

— Ładna osóbka — odparł, udając że jej nie poznał.

— Tak, niebrzydka i bardzo inteligentna. Bawiła u mnie parę dni w przejeździe do Tallina.

— Wyjechała do Tallina. Już ja się postaram, żeby więcej nie wróciła do Polski — pomyślał z zaciętością — głośno powiedział:

— Nie zazdrościsz jej podróży za granicę.

Drgnęła jakby zaskoczona:

— Dlaczego mam zazdrościć?

— Bo podróże mają w sobie dużo uroku. Nowe miejsca, nowe twarze, nowe zwyczaje. Praca, którą obecnie mam, nie męczy mnie ani upokarza. Brak mi jedynie możności wyjazdu za granicę. Za tym jedynie tęsknię.

Wzruszyła ramionami:

— Może i ja kiedyś wyjadę sama lub z mężem, lecz jeżeli pojadę gdzie, to będzie to Paryż, Londyn, Nowy Jork — ale Ryga! ph... mała nadmorska mieścina.

— Jednakże pieniądze to wielka i ważna rzecz — westchnął.

— To wszystko! — poprawiła go.

— Nie poniżaj się — zaprotestował. — Nie jesteś aż taką materialistką. Na pewno dużo jest rzeczy, których byś nie wyrzekła się dla pieniędzy.

— Bardzo mało — odparła — a może... zawahała się, by wyrzucić z siebie prędko, nerwowo — ...chyba ciebie, gdybym mogła cię zdobyć i zatrzymać... twoją miłość.

Nie spodziewał się podobnej odpowiedzi, zaskoczyła go, zdumiała. Pobladł, a w duszy diabelskim chichotem rozległy się słowa Anny wyrzeczone do niego dwa lata temu.

— Nienawidzę was wszystkich. Pragnęłabym widzieć waszą zagładę. Nie macie prawa bytu. Wasze znaczenie już się skończyło. Teraz nasza kolej, a pohybel wam!

Zawrzało w nim oburzeniem: Czy ona jest na tyle ograniczona, że wyobraża sobie, iż jemu wszystko wmówić można bo jest takim idiotą, że zniesie od niej wszelkie ubliżenia, naigrywania, że zapomni wszystko! Dostroił się do niej, udał, że uwierzył jej.

— Nic straconego, Anno, nigdy za późno. Możemy zawsze podjąć nitkę sympatii i związać ją w tym miejscu, gdzie się zerwała.

Patrzyła na niego zaskoczona, niepewna czy żartuje, czy poważnie słowa swe traktuje.



Wielki wyścig samochodowy w Trypolisie wygrał Lang (Niemcy) na Auto-Uninonie.

— Możemy zawsze być dobrymi przyjaciółmi — dodał.

Zdawała się czytać w jego myślach, bo pobladła i kąciki jej ust drgnęły jak do płaczu. Położyła dłoń na jego ręce i szepnęła przez łzy błagalnie:

— Zmieniłam się Leonie i bardzo szczerze żałuję swych czynów dawniejszych.

W odpowiedzi podniósł do ust białą drobną rączkę. Wstała.

— Chodźmy do pani Haliny. Obiecałam że wstąpię dziś do niej.

Pokręcił głową przecząco:

— Nie mogę, ale podprowadzę cię kawałek.

Czerwony Fiat Wandy minął ich na skrzyżowaniu ulic. W oczach Anny zamigotały błyski rozbawienia, gdy odpowiedziała na powitanie przejeżdżającej.

— Zazdrosna jest o ciebie — szepnęła.

Czerwona mgła zasłoniła na chwilę wzrok Leona, a serce zabiło mu tak mocno z wrażenia, że aż zakłuło go w skroniach i gardle. Nie mógł przemówić, a gdy dobył głosu dźwięczał on matowym, ochrypłym tonem.

— Zdaje ci się!.. Nie lubi mnie; gdyby nie ceniła we mnie fachowca dawno by się pozbyła mnie z Bereznej.

Anna uśmiechnęła się w odpowiedzi, uśmiechem domyślnym, irytującym w swoim cyniźmie.

— Jest bogata, ma moc pieniędzy no i hrabianka — zauważyła niby mimochodem.

— Tak, panna Znamierowska jest bardzo bogata, a ja biedak i tu umieszcza się kropkę i historia skończona.

Stali już przed domem pani Haliny.

Pożegnał Annę i zawrócił do sklepu przed którym czekały na niego konie.

Szedł zamyślony, skupiony z grymasem bolesnym na ustach.

— — — — — — — — —

Anna zastała panią Halinę samą z książką w ręku. Książka zaciekawiła ją, więc odłożyła ją z pewnym ociąganiem się. Anna była podniecona; już od progu oznajmiła zdejmując nerwowo rękawiczki:

— Leon był u mnie. Odprowadził mnie tu, ale nie chciał wejść, bo i tak spóźnił się do domu.

— Coś za często odwiedza on szanowną panią — żartowała pani Halina bez cienia złośliwości.

Znała dobrze świat i wiedziała, że mężczyźni zawsze jak ćmy koło światła krążyć będą koło ładnych i szykownych kobiet. Nie zgorszyła się więc flirtem Leona i Anny. — Anna taka urocza — myślała pobłażliwie — że trudno się jej oprzeć.

— Cóż mam robić — usprawiedliwiała się Anna — nie mogę go przecież za drzwi wyrzucić.

Nagle wybuchnęła śmiechem, który zaskoczył starościnę.

— Spotkaliśmy pannę Wandę i Leon powiedział mi, że gdyby posiadała bogactwa Rotschilda to i wtedy nie złakomiłby się na nią, nie zapragnąłby jej zdobyć dla siebie.

Dotknęło to panią Halinę. Podniosła dumnie swą ciemnowłosą główkę i odpowiedziała wyniośle:

— Może być pewien, że i Wanda nie wyszłaby nigdy za niego za mąż.

A w duszy jej zrodził się żal i niechęć do Leona.

* * *

Pewnego dnia Leon wchodząc do saloniku w oczekiwaniu na obiad zastał w nim młodego człowieka, rozpartego wygodnie w fotelu.

— Przystojny — przebiegło mu przez myśl — ale jakieś zarozumiałe, ograniczone bydlę — określił go z niczym nieusprawiedliwioną niechęcią.

Ponieważ w pokoju nie było nikogo z domowników, więc przedstawił mu się sam.

— Miroszewski.

Słyszał to nazwisko. Daleki sąsiad Bereznej, właściciel ogromnego ale zniszczonego złą gospodarką i obdłużonego majątku, znany hulaka i utracjusz. Popatrzyli na siebie z obopólnym uprzedzeniem.

— Pan... eee... jest administratorem Bereznej.

— Owszem — odpowiedział Leon przerzucając niedbale tygodniki, leżące na stole.

— Czy pan nie uważa, że hrabianka Wanda powinna właściwie poszukać sobie starszego, a tym samym więcej doświadczonego agronoma.

Dureń — pomyślał Leon, głośno odpowiedział:

— Nie hrabianka Znamierowska, a hrabia Mizocki zawierał ze mną umowę. Co zaś do mych umiejętności to dodatni bilans gospodarczy najlepiej za mną przemawia — dokończył z rozdrażnieniem.

Wejście pana Żułowskiego i Wandy przerwało rozmowę, ale hrabia Miroszewski powrócił do niej przy stole.

— Wie hrabianka, nim pani weszła mówiłem panu... tu zatrzymał się i popatrzył pytająco na Leona.

— Hrabia Bieliński — dopomógł jego pamięci Leon, patrząc na niego z nietajonym szyderstwem.

Miroszewski stropił się. Widać było, że zaskoczył go tytuł Leona; ciągnął jednak dalej.

— Mówiłem właśnie hrabiemu Bielińskiemu — tu skłonił głową Leonowi — że uważam go za zbyt młodego na stanowisko, które zajmuje.

Wanda poczerwieniała.

— Ja tylko mogę sądzić, czy hrabia Bieliński jest odpowiedni czy nie. Jesteś

na pewno mało co starszy od panna Bielińskiego, a nie przeszkadza ci to w zarządzaniu majątkiem.

Otworzył usta, chcąc coś powiedzięć, lecz uprzedziła go.

— Nie nudź. Czy przyjechałeś, żeby nas odwiedzić, czy też żeby wprowadzać niemiły nastrój? — powiedziała cokolwiek ostro, łagodząc ton i słowa uśmiechem.

Ożywił się.

— Naturalnie, że przyjechałem, bo stęskniłem się za tobą, no i chciałbym ci opowiedzieć również wszystkie ostatnie nowiny i ploteczki warszawskie.

— Głupi dureń — szepnął z irytacją do Leona pan Zułowski.

Leon wysunął się z salonu zaraz po kawie i nałożywszy palto, bo noc była chłodna, w kierunku miasteczka.

* * *

Jesień nie zawiodła i jak zwykle w Polsce, pogoda panowała ciepła, słoneczna. Pani Halina zaproponowała Wandzie zorganizowanie pikniku w lasach Bereżnej. Projekt ten został zaakceptowany przez Wandę i przyjęty entuzjastycznie przez Annę i bliźniaczki Grażynę i Bożenę, tym więcej, że napady band bolszewickich ustały w okolicy.

W niedzielę zaraz po południu zjechało się do Bereznej całe towarzystwo: starostowie, Anna, państwo Ilińscy, dyrektor banku z żoną, doktór z córką, hożą, dwudziestoletnią studentką, dwóch urzędników ze starostwa.

Grażyna, Bożena, ich młodszy brat Karol zjawili się później, a na samym końcu nadjechał hrabia Miroszewski na karej klaczy. Ubrany po sportowemu chciał zachwycić Wandę, wzbudzić w niej uznanie i zainteresowanie.

Na dwóch wozach drabiniastych wśród gwaru i śmiechu wyruszyli do lasu, poprzedzani wozem, który wiózł kucharza i lokaja z zapasami.

Piknik udał się. Wszyscy byli w dobrych humorach. Śpiewali „przeboje" solo i chórem, dowcipkowali, żartowali jeden z drugiego.

W lesie, gdy służba przygotowywała posiłek, rozeszli się po lesie parami lub grupami, zbierać grzyby, obrywać orzechy, flirtować, zależnie od gustu.

Po podwieczorku pani Halina nastawiła gramofon i próbowano tańczyć na zielonym kobiercu traw. Leon robił zdjęcia. Pozowano mu chętnie za wyjątkiem Anny, która unikała uchwycenia jej na kliszę. Leonowi jednak udało się. Zaskoczył ją niespodziewanie, gdy siedząc na pniu drzewa zwrócona była profilem do niego. Zrobił dwa zdjęcia i z zadowoleniem zamknął aparat.

O zmroku wrócili do Bereznej, gdzie czekał na nich wykwintny obiad. Humory dopisywały w dalszym ciągu.

Bliźniaczki zaproponowały tańce.

Wanda nastawiła gramofon i tony modnego tanga napełniły salon.

Bohdan Miroszewski krążył cały czas koło pani domu, uważny na każde jej skinienie, na każdy ruch. Leon natomiast trzymał się od Wandy z dala. Flirtował zawzięcie z Grażyną, tańcząc na przemian to z nią, to z panną Haliną i Anną.

— Co pan myśli o Bohdanie? — zagadnęła go pani Halina, gdy tańczyli razem.



Premier nowego rządu belgijskiego, Spaak.

Leon spojrzał przez ramię na Bohdana nachylonego nad Wandą i coś jej gorąco przedkładającego i skrzywił pogardliwie usta.

— Głupi, zarozumiały osioł — mruknął niechętnie.

— Więc pan uważa — dopytywała się dalej pani Halina — że z tej mąki nie będzie chleba?

Zmrużył oczy na sekundę jakby go zabolały od światła.

— Czyż może być dobrane stadło z bociana i orlicy? — odpowiedział pytaniem.

Pani Halina spojrzała mu w oczy badawczo. Nie powiedziała nic więcej, lecz oczy jej tak zawsze wesołe i beztroskie powiokły się mgłą zadumy.

* * *

Stary pan zapadł na grypę z wszystkimi jej komplikacjami i były chwile, że nawet doktorzy zwątpili o jego wyzdrowieniu, lecz silny, choć stary organizm przemógł chorobę i chory wolno, ale stale nabierał sił i zainteresowania do spraw życiowych.

Leon odwiedzał go codziennie a nawet czuwał nad nim przez dwie noce, by zastąpić opadającą z sił ze znużenia Wandę, która podczas najgorszego nasilenia choroby nie odstępowała go ani na chwilę.

Na szósty dzień choroby, gdy pan Zułowski zasnął spokojnym orzeźwiającym snem Leon z Wandą zeszli do jadalni na kolację.

Pokój był ciepło ogrzany, jasno oświetlony, na kominku palił się ogień, światło łamało się tęczowym blaskiem w kryształach zastawy.

Siedzieli naprzeciw siebie obcy, dalecy, obojętni sobie, milczący,milczeniem osób nie mających ze sobą nic wspólnego i nic do powiedzenia.

Nagle Wanda podniosła głowę i rzuciła Leonowi uśmiech rozbawienia.

Popatrzył na nią pytająco i zaskoczony.

— Gdyby tak ktoś obcy, postronny zajrzał przez okno wziąłby nas za stare, znudzone sobą małżeństwo.

Poczerwieniał. Rumieniec ciemną falą krwi opłynął mu twarz aż po czoło. Ściągnął brwi.

— Swego czasu marzyłem o obrazku, który tworzylibyśmy dla kogoś postronnego, to jest mieć żonę młodą, ładną, inteligentną i miły, wygodny dom, ale marzenia to jak zresztą wszystkie me plany życiowe nie spełniły się — powiedział z mimowolną goryczą w głosie.

— Ma pan jeszcze dużo czasu na spełnienie tego ostatniego marzenia — odrzekła łagodnie ,zaskoczona jego odpowiedzią i smutnym tonem tego wynurzenia.

Poruszył głową przecząco:

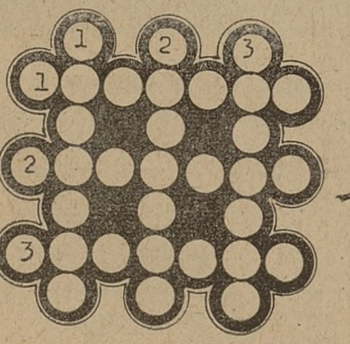
— To już nie będzie to samo.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

K W A D R A T   M A G I C Z N Y

uł. F. Gałecki





Wyrazy o podanym znaczeniu wpisać w odpowiednie pola w ten sposób, aby czytane pionowo, czy poziomo miały jednakowe brzmienie.

1. Pierwiastki chemiczne mające te same własności fiz. i chem., ale różne ciężary atomowe. 2. Boisko wraz z trybunami. 3. Sól gorzka, minerał, siedmiowodny siarczan magnezu.

L O G O G R Y F

ułożył Wł. Samulski, Nowawieś Wielka

Z podanych sylab należy ułożyć 12 wyrazów, których pierwsze litery czytane z góry na dół i ostatnie litery czytane z dołu do góry, dadzą rozwiązanie. Wyrazy są wszystkie siedmioliterowe.

1. ● ● ● ● ● ● ●
2. ● ● ● ● ● ● ●
3. ● ● ● ● ● ● ●
4. ● ● ● ● ● ● ●
5. ● ● ● ● ● ● ●
6. ● ● ● ● ● ● ●
7. ● ● ● ● ● ● ●
8. ● ● ● ● ● ● ●
9. ● ● ● ● ● ● ●
10. ● ● ● ● ● ● ●
11. ● ● ● ● ● ● ●
12. ● ● ● ● ● ● ●

Znaczenie wyrazów:

1. Tytuł francuskiej piosenki wojskowej
2. ludzie jedzący mięso surowe
3. imię znane z Biblii
4. pojazd
5. drapieżne zwierzę z rodziny kotów
6. Starogrecka epopeja Homerowa opisująca przygody (Ulissesa) (bez ostatniej litery)
7. posługujemy się przy jedzeniu
8. człowiek porywczy, popędliwy
9. marzycielskie uniesienie
10. odległość ściśle określona — wspak (zam. „s" czyt. ś)
11. setna część franka
12. najeźdźca (po łacinie)

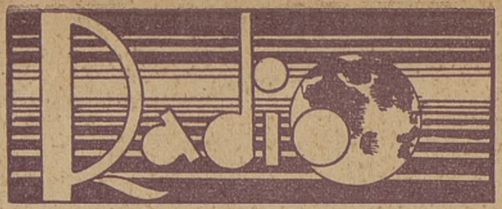
Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dnia 3 czerwca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 20 „Moich Powieści" 1. Konikówka: Owoc doświadczenia jest gorzki, lecz zdrowy. 2. Uzupełnianka: Dozbroić Polskę na morzu.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Lipski Henryk — Zalesie, „Orzeł Karpacki", Semeniuk Piotr — Młynów, Martoflowa M. — Głowno k. Łowicza, Stęczniewski Roman — Gorzyce Wielkie, Samulski Władysław — Nowawieś Wielka, Zimoch Wacław — Wójcin k. Bolesławca, Smolarek Kazimierz — Poznań, Kujawa Teodor — Janów, Lenart Tadeusz — Rakowice, Kulpikówna Jadwiga — Tuczno, Jeziorny Edmund — Kołdrąd, Chełminiakówna Joanna — Bydgoszcz.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Martoflowej z Głowna i Lenartowi z Rakowic.



Niedziela, dnia 29 maja 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.00 Transmisja z Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego w Budapeszcie — Mszę św. celebrować będzie ks. Kardynał Legat Papieski 10.30 Muzyka z płyt 12.03 Poranek symfoniczny z parku Paderewskiego 13.00 Książki mojego dzieciństwa — szkic literacki 13.15 Muzyka obiadowa ze Lwowa 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Powszechny Teatr Wyobraźni: „Goście mile widziani" 17.00 Utwory Ludwika van Beethovena w wyk. St. Staniewicza 18.00 „Powitanie lata" — korowód z pieśnią i muzyką w Poznaniu 20.05 Muzyka z płyt 21.00 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 „Letni wieczór w Warszawie" — audycja muzyczna.

Poniedziałek, dnia 30 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.15 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.15 „Co by było gdyby..." — aud. dla dzieci 16.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Ork. Rozgł. Lwowskiej 17.00 Muzyka taneczna z płyt 18.10 Kwintet fortepianowy L. Różyckiego 18.30 Audycja Legii Akademickiej 19.00 Muzyka kameralna z płyt 19.30 Po staropolsku — Koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Muzyka taneczna 22.00 Pieśni Izaaka Albeniza 22.20 Recital skrzypcowy Roberta Soetensa.

Wtorek, dnia 31 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Śpiewa Miliza Korjus — sopran — płyty 12.03 Audycja południowa 15.15 „Przygoda Marcelianka Majstra-Klepki" — audycja dla dzieci 16.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Orkiestry Rozgł. Wileńskiej 16.45 Jan Matejko — opowieść biograficzna 17.00 Muzyka taneczna 18.00 „Z życia owadów" — pogad. zz Wilna 18.10 Koncert muzyki gruzińskiej z Poznania 19.00 Recital fortepianowy Ernesta Kreneka 1000 taktów muzyki — koncert 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Gawoty i menuety — koncert 22.00 Finał koncertu dla pianistów im. Ysaye'a Transmisja z Brukseli.

Środa, dnia 1 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Gra trio „Odeon" — płyty 12.03 Audycja południowa 15.15 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dla dzieci 16.00 Koncert Orkiestry Salonowej Rozgłośni Poznańskiej 16.45 Rola wsi w wyżywieniu miasta i wojska podczas wojny — odczyt inż. Stanisława Skwarczyńskiego 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Rezerwaty przyrody w Polsce — odczyt 18.10 Recital Mieczysława Szalewskiego — altówka 19.00 Polskie pieśni ludowe w wyk. H. Łasakiewicza 19.30 „Majowe wspomnienia" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Koncert chopinowski w wyk. Józefa Turczyńskiego 22.00 Koncert Małej Orkiestry P. R.

Czwartek, dnia 2 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.15 Melodie kaszubskie — poranek muzyczny dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.15 „Słońce" — lampa świata" — pogadanka dla dzieci 16.00 Koncert solistów z Krakowa 16.45 „Wybór letniska" — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna z płyt 18.10 „Edison" — słuchowisko J. Awerta 19.00 Pieśni francuskie w wyk. Janiny Kelles-Krauze (sopran) 19.30 „Kalejdoskop" — koncert rozrywkowy z Poznania 21.00 Pogadanka aktualna dla wsi 21.10 „Pod balkonem mojej miłej" — lekka aud. muzyczna 22.00 Stanisław Suchorowski: Świętokrzyskie pieśni ludowe — koncert chóru P. R. 22.15 Polska muzyka kameralna — I audycja.

Piątek, dnia 3 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Mikołaj Rimski-Korsakow: Kaprys Hiszpański 12.03 Audycja południowa 15.15 „Księżyc smutny brat" — pog. dla dzieci 16.00 Z czasów Szekspira — koncert z Krakowa 16.45 Jak urządzić letnisko — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna — płyty 18.00 Rzeczy ciekawe z techniki i przyrody — pogadanka 18.10 Koncert solistów ze Lwowa 19.00 Recital skrzypcowy Zdzisława Roesnera 19.30 „Na swojską nutę" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Berło i lira" — audycja muz. — słowna 22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki" — I audycja.

Sobota, dnia 4 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Kołysanki z płyt 12.03 Audycja południowa 15.15 „Janek i jagodowi królewicze" — słuchow. dla dzieci 16.00 „Mozaika muzyczna" — w wyk. Trio P. R. 16.45 „Wakacje zorganizowane" — pogadanka 17.00 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego 18.10 Recital śpiewaczy Anieli Szlemińskiej 18.45 Znam tylko jeden Śląsk" — kwadrans poetycki 19.00 Recital wiolonczelowy Dezzyderiusza Danczowskiego 19.30 „Z pieśnią i tańcem po Mazowszu" — koncert 20.00 Audycja dla Polaków za granicą 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R. 22.00 Gdzina niespodzianek z Wilna.



PRAWDZIWY POWÓD

Po dłuższym pobycie w Stanach Zjednoczonych, Cymerman postanowił przyjąć obywatelstwo amerykańskie. Jest to dość uciążliwa procedura, gdyż między innymi trzeba zdać egzamin z dziejów Ameryki.

— Kto jest prezydentem Stanów?
— Mister Roosevelt!
— Jakie miasto jest naszą stolicą?
— Waszyngton!
— Czy mógłby pan zostać prezydentem Stanów?
— Nie!
— Dlaczego?
— A kto by w sklepie siedział?

STRATA

— Psiakrew, złota papierośnica!. — Szkoda!
— Czy pan miał dziurę w kieszeni?
— Nie, tylko ten, co ją zgubił, usłyszał stuk, odwrócił się i podniósł.

STALIN I JEGO PORTRET

Stalin jest w złym humorze. Ciągłe zamachy, spiski, zdrady... Wszystko to wytrąca go z równowagi. Niespokojnie krąży po swym gabinecie tam i z powrotem. Wreszcie zatrzymuje się przed swym portretem, wiszącym na ścianie i wzdycha:

— Do czego to wszystko prowadzi? Jak to się skończy?...
— To bardzo proste — odpowiada portret. — Zamienimy się tylko rolami: mnie zdejmą a ciebie powieszą!...

KRYZYS W OPERZE

Reżyser jest zirytowany. Chórzyści lekceważą sobie zajęcia.

— Panie Frąckiewicz, dlaczego pan wczoraj nie przyszedłeś na próbę?
— Oddałem buty do podzelowania.
— A pan, panie Wierciołek?
— Ja mu właśnie te buty zelowałem.

KTÓRY ŚWIAT

Agent namawia klienta na kupno motocykla.

— Dzięki tej maszynie zobaczy pan świat...
— Ten, czy tamten? zapytuje klient.

SKACZĄCE DIABEŁKI

Doktór Y. śpi smacznie, raptem rozlega się dzwonek.

— Kto tam? Proszę...
— To ją, Fąckiewicz, Panie doktorze, eepp..! straszna ale to eepp...! straszna.
— Co takiego?
— Mój przyjaciel eeepp... upił się, jestem o niego eeepp... niespokojny.
A jakie objawy?
— Straszne, panie doktorze... Diabełki, takie eeeppp...! malutkie diabełki.
— Chory widzi diabełki! O, to źle. Zaraz przyjadę.
— Ale nie, panie doktorze, to nie on widzi, to ja widzę eepp...! diabełki, jak skaczą po jego łóżku...

W OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ

Komendant ochotniczej straży ogniowej do strażaków: — Spieszcie się panowie i kończcie tę partię bilardu, gdyż w sąsiedniej wiosce wybuchł pożar.

Jeden ze strażaków: — W jaki sposób dowiedział się pan o tym?

Komendant: — Otrzymałem stamtąd dziś rano pocztówkę.

OSZCZĘDNY

Pani: — Twój narzeczony zdaje się lubi trwonić, Marianno!

Kucharka: — Przeciwnie, proszę pani, jest bardzo oszczędny! Zawsze gasi światło, gdy przychodzi do mnie, do kuchni!

OSZUKAŁ GO

Do starej i zgryźliwej ciotki przychodzi z wizytą pan Supełek z maleńkim synkiem Stasiem.

Stasio jednak na samym wstępie uderza w okropny płacz.

— Co się stało, Stasiu? — woła zmartwiona ciocia — czy nie jesteś zadowolony, żeś przyszedł do mnie w gościnę?

Na to malec, tłumiąc łkanie:

— A, bo tatuś oszukał mnie, powiedział, że pójdziemy oglądać małpę w Zoo!



Gdy reżyser filmowy zmuszony jest niezręcznej tancerce pokazać piękne pas...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych 1/2 strony 225.— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.